Nr. 4. Poznań, niedziela 26-go stycznia 1896. Rok III.

# PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. W Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.



## Szkoły ludowe w Rosyi.

II.

Scharakteryzowaliśmy w poprzednim artykule opanowanie szkoły ludowej przez rosyjskich popów i kult ciemnoty szerzony programowo przez duchowieństwo rosyjskie. Dzięki reakcyi zapoczątkowanej polityką Pobiedonoscewa, uświęconą ciasnym fanatyzmem cerkiewnym i tępą umysłowością Aleksandra III., szkoła ludowa z rozsadnika oświaty zamieniła się w sługę cerkwi, pepinierą rytualnych formułek i obrządków, w instytucyę systematycznej wojny z każdym podmuchem cywilizacyi. Zdobywszy raz królujące stanowisko w dziedzinie pedagogicznej, popi rosyjscy z bezwzględną brutalnością stanęli na straży kierunku swojego i władzy. Czują pogardę znacznej części inteligencyi, czują nienawiść, którą lud do nich pała, czują ironię i potępienie Europy, — więc wietrzą bunt na każdym kroku, każde drgnienie liberalniejsze depcą nogami i z uporem kretynów grzęzną coraz dalej i coraz głębiej na bagnach reakcyi swojej. Charakterystyczną w tym względzie jest głośna sprawa pani Stewen, która własną inicyatywą powołała do życia 50 szkółek prywatnych o elementarnym zakroju. Już sama „świeckość" tego humanitarnego przedsięwzięcia zbudziła podejrzenie „niebłagonadiożnosti" a gdy pani Stewen na pewnem zgromadzeniu ziemstwa w gubernii niżno-nowogrodzkiej i w jednem z czasopism petersburskich ogłosiła publicznie, że szkoły gminne przewyższają w kierunku pedagogicznym szkoły parafialne, odebrano jej natychmiast prawo zakładania nowych szkółek prywatnych, a stare oddano nadzorowi popów, usuwając założycielkę od wszelkich wpływów. Odważna pionierka zdrowej pedagogii nie dała jednak za wygrane i skrępowana w jednym kierunku, rozpoczęła tem energiczniejszą walkę na arenie publicystycznej.

W lecie ubiegłego roku ogłosiły „Russkija Wiedomosti" list pani Stewen, zawierający twierdzenie, że popi po większej części tak są opanowani kłopotami gospodarczemi i służbą kościelną, że ani czasu, ani pieniędzy, ani zdolności nie posiadają, aby sumiennie szkołą się zajmować. Autorka wywodzi również, że lubo wielka część duchownych rosyjskich wcale szkół nie pozakładała, to zakazuje surowo innym osobom jakąkolwiek w tym kierunku rozwijać działalność, z obawy, aby ich własne niedbalstwo na jaw nie wyszło, aby odmienny kierunek pedagogiczny nie zdobył sobie jednej piędzi ziemi, aby wreszcie uniknąć obowiązku zajmowania się wykładem i dozorowania nauki.

W takich warunkach zrozumiałem jest zupełnie, że szkoły parafialne odtrąciły wszystkie lepsze żywioły z inteligencyi i ludu. W jednym z lipcowych zeszytów (1895 r.) „Posłańca kościelnego", organu petersburskiej akademii duchownej, znajdujemy skargę, że nawet naczelnicy ziemscy unikają jakiejkolwiek styczności z szkołą parafialną z powodu bezustannych kolizyi z popami, „prowadzących nawet do wojny na pięście."

Kijowskie zgromadzenie, zwołane w sprawie dziesięcioletniego jubileuszu szkoły parafialnej, rozpatrywało między innemi sprawę seminaryi nauczycielskich uznanych w roku 1867 przez ministra oświaty Tołstoja za zupełnie zbyteczne i niebezpieczne, lecz później w okresie liberalnym Aleksandra II powołane do życia. Kongres kijowski wyraził opinię, że wprawdzie nie sprzeciwia się zakładaniu dwuklasowych seminaryów, lecz radzi nadać im charakter szkół klasztornych, a pop Jan Fudel poparł natychmiast propozycyę argumentem, że „szkoły klasztorne nastręczają przedewszystkiem wychowańcom swoim sposobność uczestniczenia codziennie w nabożeństwie." Czem atoli są klasztory prawosławne w Rosyi, o tem chyba długo rozwodzić się nie potrzeba: Zupełny brak oświaty i ograniczony, dziki fanatyzm, — oto atrybuty „czarnego duchowieństwa", czyli mnichów rosyjskich. (Ciekawych odsyłamy do dzieł Kostomarowa, Sołowjewa itp.) W myśl uchwały kijowskiej rozpoczęto natychmiast, jeszcze przed zakładaniem klasztornych seminaryów, wojnę z dawnemi seminaryami z czasów Aleksandra II, a rezultat jej przedstawia się charakterystycznie w następującem obliczeniu statystycznem:

W r. 1886 było 78 męzkich i 8 żeńskich seminaryów nauczycielskich, — w roku 1893 męzkich 67, żeńskich 5. Uszczuplenie wynosiło zatem w pierwszym wypadku 14 proc., w drugim 37.5 proc. W r. 1886 było 5430 seminarzystów i seminarzystek. W r. 1893 4574 seminarzystów i 582 seminarzystek. Uszczuplenie wynosiło zatem 15,8 proc. i 25,5 proc. Dla uzupełnienia obrazu sklerykalizowania szkół ludowych nadmieniamy wreszcie, że na mocy uchwał kijowskich wszystkie biblioteki szkolne zamieniono w oddziały bibliotek cerkiewnych i nakazano tylko takiemi książkami lud zaopatrywać, które poleci kościelny organ „Zerkownyja Wedomosti". Rozporządzenia te stosują władze z taką pedanteryą, że w najświeższym czasie zabraniają gubernatorowie prywatnym osobom i gminom zakładania bezpłatnych bibliotek dla ludu. Charakterystycznym jest również okólnik ministra oświaty, odbierający kobietom prawo prowadzenia szkółek elementarnych, do których obok dziewcząt uczęszczają chłopcy. W r. 1892 zniesiono w gubernii astrachańskiej szkoły niedzielne i odczyty dla ludu, a inspektor Spaski oświadczył wyraźnie, że nie pojmuje, jak realne szkoły wydzierzawiać mogą gmachy swoje dla tego rodzaju przedsiębiorstw, bo „świątynia nauki nie na to jest zbudowaną, aby ją kalać miały uliczne brudy". Znaną jest także rzeczą, że cieszące się zasłużonym rozgłosem Czernigowskie kongresy nauczycieli ludowych, zwoływane przez wybitnego pedagoga Tichomirowa, zostały zabronione na mocy ministeryalnego reskryptu.

Interesującem jest stanowisko, jakie konserwatywna prasa rosyjska, a mianowicie „Moskowskija Wiedomosti" i „Graždanin" zajmują konsekwentnie wobec oświaty ludowej. Jedno i drugie z powyższych czasopism uznaje umiejętność czytania i pisania za szkodliwą i demoralizującą dla ludu wiejskiego, a „Graždanin" w jednym z numerów lipcowych (r. 1895) kreśli następujący obrazek „wsi oświeconej":

„Jest to wielka wieś z trzema szkołami; prawie wszyscy mieszkańcy umieją czytać i pisać. Cóż przedewszystkiem uczyni chłop umiejący czytać i pisać? Oszuka drugiego. Do kościoła połowa tych ludzi nie uczęszcza, natomiast wieś oświecona rozpoczyna chętniej niż wprzódy odwiedzać szynki. Wódka — według opinji chłopa umiejącego czytać i pisać — daje rozum i męztwo, i zanim dwa lata upłyną liczba złodziei i oszustów potroi się we wsi oświeconej."

Jakkolwiek idyotycznym sąd taki jest niewątpliwie, należy liczyć się z nim poważnie, bo opinia ks. Meszczerskiego, redaktora Graždanina, jest opinią t. zw. „kamaryli

dworskiej“, kierującej do dnia dzisiejszego losami 120 milionów mieszkańców caratu.

W obec wszystkich powyżej przytoczonych szczegółów, — w obec faktu podanego przez Feliksa Wołkowskiego (Free Russia), że cała Rosya nie wydaje tyle na elementarną oświatę ludu, ile magistrat londyński na utrzymanie swoich instytucyi pedagogicznych, — w obec faktu, że do szkół ludowych w Rosyi uczęszcza tylko 2,2 % ludności, — w obec sklerykalizowania szkoły ludowej i panujących systemów wychowawczych, raczej zabijających niż krzewiących oświatę, — w obec skrępowania każdej inicyatywy świeckiej w dziedzinie pedagogii ludowej, — dziwnemi wydają się częste legendy prasy europejskiej o tendencyach cywilizacyjnych rządu rosyjskiego i energicznych dążeniach zaprowadzenia przymusu szkolnego w całem cesarstwie. Powierzyć lud wyłącznej opiece ciemnego i fanatycznego duchowieństwa, — zabić światło, — oto wyłączne hasło rozbrzmiewające od chwili wstąpienia na tron Aleksandra III na wyżynach rządowych.

## POLITYKA.

# Przegląd prasy polskiej.

*Germanizacya przez Kościół.* W „Nowinach Raciborskich“ czytamy:

„Ks. proboszcz Reszka w Wodzisławiu wołał przed kilku tygodniami na kazaniu między innemi, „żeby ojcowie swych dzieci po polsku nie uczyli, gdyż to daremne i do niczego nie prowadzi, lecz po niemiecku. Kto zaś po niemiecku nie potrafi, ten niech się tylko na różańcu modli. A gdy panowie i rejencya po niemiecku uczyć rozkazują, to obowiązek nasz tak się uczyć i czynić, a świata do góry nie przewracać.“

W Rudach jest proboszczem ks. Thiel. Nawojował on się niemało z naszemi gazetami, odsądził naszych redaktorów od czci i sławy, a nawet im zarzucił oszustwo, bo wołał, że „polscy redaktorzy narobili w Poznańskiem długi, a teraz przylecieli na Szlazk, nasz dobry ludek bałamucić.“ Ks. Thiel, który zabrania trzymać gazety polskie, a podejrzanych bierze na egzamin, gdy się do niego po polsku mówi po sprawie — bo w Rudach wszytko polskie — to w większej części mówi po niemiecku, zwłaszcza do młodszych. Skarżono się ze łzami w oczach, że w Rudach polski język ruguje się z kościoła“.

* * *

*Polacy-protestanci.* Wychodząca od 1 stycznia w Ełku na Mazurach „Gazeta Ludowa dla polskiego ludu ewangielickiego“, oblicza, że na całej przestrzeni Polski mieszka 700,000 ewangelików Polaków. Większa połowa ludności tej zamieszkuje prowincyą wschodnio-pruską, Mazowsze pruskie, gdzie w powiatach gołdapskim częściowo, jansborskim, łeckim, margrabowskim, węgoborskim częściowo,ządzborskim, morąskim częściowo, niborskim, olsztyńskim częściowo, ostródzkim, rastenborskim, reszelskim częściowo i szczycieńskim dochodzi do 480,000 dusz. W W. Ks. Poznańskiem żyje wedle obliczenia rzeczonej gazety, w powiatach ostrowskim, kępińskim i ostrzeszowskim 20,000 ewangielików polskich, dalej na Szlązku w powiatach sycowskim, namysłowskim, kluczborskim, brzeskim i lublinieckim 40 do 50,000, a wreszcie na Szlązku austryackim blizko 100,000.

„Gazeta ludowa“ zaznacza z zadowoleniem, że polska ludność ewangielicka wiernie się trzyma mowy macierzyńskiej. I rząd, — tak dodaje — jest nam (Polakom ewangielikom) przychylny. Po szosach, drogach, miastach i na załukach znajdujemy przepisy i przestrogi w polskim języku.., a te świadczą aż nadto wymownie, że na Mazurach mowa polska jest główną mową miejscową.

* * *

*W sprawie przewodnictwa księży w towarzystwach ludowych.* Przeciw tendencyi, aby w zachodnio-pruskich towarzystwach ludowych prezesem był każdorazowy proboszcz z urzędu. nie z oboru, wystąpiła również „Gazeta Grudziądzka“. W nr. 6 czytamy:

„Jesteśmy bezwarunkowo temu przeciwni, żeby paragrafami księżom zastrzegać przewodnictwo. Wszak niejeden z księży ociąga się, jak to przecież już teraz widzimy, od brania czynnego udziału w pracach Towarzystwa, a zniewalać go niejako przymusowo do tego nie wypada. Jednakże ważniejsze jeszcze względy przemawiają przeciwko ustanawianiu takich paragrafów.

Na czele Towarzystwa polskiego a mianowicie ludowego musi bowiem stać człowiek, który będzie pracował w duchu szczerze polskim. A czyż mamy pewność, że tam. gdzie dziś ksiądz jest Polakiem, jego następca również będzie Polakiem?! Czyż mamy pewność, że raczej nie będzie przyjacielem rządu, lub wprost germanizatorem, który wpływu swego jako przewodniczący będzie nadużywał na szkodę polskości?!

Tej pewności zgoła nie posiadamy, a raczej wiemy niestety, że zakusy germanizacyjne wciskają się nawet do samego kościoła, chociaż jak to udowodnioną jest rzeczą, wychodzi to na szkodę Wiary naszej świętej.

Jakże się jednakże dziwić, iż się tak a nie inaczej dzieje, jeżeli nawet pewien biskup katolicki, posiadający między trzodą swych wiernych i garstkę ludu polskiego, taką zdradza niechęć do Polaków, iż mógł o nim pewien dostojnik kościelny, znany ze swej szlachetności, powiedzieć, iż traci przytomność, gdy mu ktoś o Polakach wspomina“. jeżeli tenże sam biskup, gdy mu zwracano uwagę na to, iż w interesie Wiary św. i Kościoła należałoby więcej uwzględniać język ojczysty, zdobył się na taką odpowiedź: „Działoby się lepiej z wiarą naszą świętą, gdyby księża proboszczowie kochali tyle Zbawiciela ile mowę swą polską.“

Tych słów my bliżej objaśniać nie potrzebujemy, boć każdy zrozumie, czem one trącą. Jeżeli jednakże taki przykład idzie z góry, to prawie dziwić się nie można, iż dzisiaj zdarzają się pomiędzy księżmi zawzięci germanizatorzy i wrogowie mowy i narodowości polskiej. Takim zaś osobom wstępu do Towarzystw naszych i drogi do kierownictwa niemi, podobnemi paragrafami ułatwiać nie możemy, lecz raczej jest naszym obowiązkiem, o ile to w naszych siłach. stawić im pod tym względem zapory.

Towarzystwa nasze polskie są bowiem jedynem schroniskiem bezpiecznem dla świętości naszych narodowych, są one strażnicami, w których my „wartować winniśmy jak czujne brytany“ i z których odpieramy skutecznie grożące naszym skarbom narodowym niebezpieczeństwa, trudno więc wpuszczać do nich wroga w postaci księdza germanizatora.“

* * *

*Wstręt do oświaty.* „Słowo polskie“ (Lwów) rozpatruje w nr. 117 kwestyę polepszenia płac nauczycieli ludowych w Galicyi, zajmującą obecnie uwagę posłów sejmowych. Z artykułu dziennika tego dowiadujemy się, że szkół ludowych zorganizowanych a dla braku nauczycieli nieczynnych

---

OLA HANSSON.

# BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

(Dokończenie).

Idée fixe, że rozpołowiono duszę moję, nie opuszczała mnie nigdy. Razu pewnego oblekła się w kształt fizyczny, w dwie formy cielesne — widziałem się sam podwójnie. Napełniło mnie to widziadło przestrachem, czułem po za sobą to wspomnienie, jak palącą się Sodomę i Gomorę... jakobym. obróciwszy się, siarkę i ogień był spostrzegł z niebios spadające — i wtedy jak żona Lota zamieniłem się w słup soli.

Nareszcie uczułem potrzebę wynurzenia się, znalezienia człowieka, z którym bym mógł podzielić się własnym ciężarem — bo brzemię każde lżejszem się wydaje, gdy napotka się towarzysza niedoli. Potrzeba owa działała na mnie jak rozkaz jaki, lub głośna skarga. Gdy zadosyć uczynić jej chciałem i szedłem ulicą, niepewność i nieufność budziły się we mnie, tak że ani kilka kroków nie uszedłem, a widziałem drogę rozdwajającą się przedemną; więc nie wiedziałem, którą obrać i do których drzwi zapukać.

Mówiłem sobie z uczuciem goryczy, że jedna przyjmie mnie z niechęcią... cierpienia moje wzbudzą w niej wprawdzie współczucie, lecz nie ciepło zrozumienia; i boleści mojej wskaże się nocleg, — snopek słomy na kamiennej podłodze. Druga przyciśnie mą boleść do serca jak własne swe dziecię w kołysce ułoży i do snu piosenkę zanuci. Do tej drugiej się zwrócę, chociaż nie powinienem obrać tej drogi — — — —

Pastor dawał ślub jakiś w naszej gminie i na tem ślubie i weselu wszyscy byliśmy. Nocny zmrok pokrywał ziemię, pokoje pełne były dymu, wrzawy i kurzu, gdy z panną Anielą wyszedłem do ogrodu. Noc była ciepła, ale już czuć się dawał chłód, zwiastujący poranek... ptaki poczynały świergotać. Usiedliśmy na ławce pod lipami; pomiędzy gałęziami widać było unoszącą się parę na łąkach i czerwony brzask jutrzenki.

Spowiadałem się jej z mej duchowej usterki. Ona słowa nic rzekła — twarz tylko ukryła w dłoniach; na ten widok pamięć moja odrysowała mi kiedyś widziany obraz: kobietę, która z nadmiaru boleści nad spadającem na nią nieszczęściem „Ojcze nasz“ odmówiła.

Jakiś jasny punkt zaświecił w oddali, zbliżył, zatrzymał się, wreszcie się oddalił; Była to Anna. Zawołałem ją, ale nie wróciła. Pojąłem, co ją tak rozgniewało, — i wszystko, co dla niej miłością we mnie było, co do niej należało, rwało się z mego wnętrza za nią — gwałtowną, pociągającą siłą. A jednak nie powstałem z ławki — pozwoliłem jej odejść! Bo we mnie istniał drugi, który silniejszy był od tego, którego pragnienie ciągnęło ku niej. Nagle zobaczyłom, że jakaś postać szła obok Anny — może to myśli me oblekły się w krew i ciało? tak niespodzianie postać ta obok narzeczonej mojej się uwydatniła, żem zbadać nie zdołał, ani zkąd powstała, ani jak się zbliżyła. Postać ta nie wyglądała tak, jak wyglądają inni ludzie, ale gdym pytał sam siebie, w czem tkwi różnica, wytłomaczyć jej sobie nie mogłem, dopóki z oczu nie spadła mi zasłona i nie zobaczyłem obok Anny — siebie samego.

Schwyciłem Anielę za rękę.

„Patrz pani, ot tam!....“

Ręka jej zadrżała w mym ręku, usłyszałem krzyk stłumiony: zerwała się i pędem pobiegła do jasno oświetlonego domu. Ale takiego wyrazu rozpaczy, jaki w przelocie na jej twarzy spostrzegłem, nigdy nie spotkałem w życiu.

Kilka dni później stałem na peronie dworca, lokomotywa gwizdnęła, pociąg ruszył, oddalając się powoli odemnie wraz z chustką, którą mi pożegnanie słała; długa, wązka ręka i twarz przyjazna zniknęły mi z oczu, a jam nic nie widział, prócz czarnego punktu, lecz i tego niebawem dostrzedz już nie mogłem. W tej samej chwili wszystko w mej duszy oblał blask zorzy wieczornej, mrok we mnie się zrobił aż do wiecznej nocy...

VII.

Podczas, gdy noc zapadła wokoło mnie, zobaczyłem, jak jedno z moich dwóch jestestw

jest w Galicyi 453, — k l a s nieczynnych 609. Z 2399 posad nauczycielskich z płacą 300 złr., a więc posad w szkołach wiejskich jest obsadzonych stale tylko 894, — a 1505 więc blizko 63% jest albo nieobsadzonych wcale, albo zajmują je nauczyciele tymczasowi, bez kwalifikacyi. Ostatnia cyfra dowodzi chyba niezbicie, że płaca 300 złr. rocznie, w tej klasie nauczycielom przyznana, jest niedostateczną. Mimo to jednak wniosek o polepszenie płac nauczycielskich spotyka się z zaciętem uporem i nie ma dotychczas pewności zwycięztwa. Do faktów tych nawięzuje „Słowo polskie" następujące uwagi:

Ze wszystkich konserwatyzmów, najgorszy, konserwatyzm kieszeniowy — odgrywa tu główną rolę. Nie wdaje się on w dyskusyę o rzeczy samej. Gotów przyznać w teoryi, że oświata jest dla społeczeństwa jak powietrze dla jednostki — warunkiem życia i rozwoju. Nie sprzeciwi się, gdy mu powiesz, że liczba analfabetów, i liczba gmin bez szkoły i liczba dzieci nieuczęszczających do szkół, nie z niechęci, ale z braku szkoły, i liczba szkół nieobsadzonych dla braku nauczycieli — że te wszystkie tak strasznie u nas wygórowane cyfry są nietylko w s t y d e m dla kraju, ale i klęską na dziś i na przyszłość. To wszystko gotów ci przyznać. Ale koniecznych z tego wniosków ci nie przyzna i z zaciętym uporem powtarzać będzie, że podwyższenie dodatków do podatków choćby tylko o jednego centa, to dla kraju gorsza kleska niż analfabetyzm. I zaczyna się wtedy szeroki wywód o ruinie ekonomicznej, o przesileniu rolniczem, o szlachcie upadającej pod ciężarami podatkowymi, o włościaninie, który przed tym podatkiem ucieka do Brazylii... Więc w obronie interesów chłopa zadaje mu się cios najdotkliwszy, bo pozwala się jego dziecku rość w ciemnocie. I rzecz ciekawa: włościanie nie lękają się tego wydatku, nie bronią się przeciw niemu — a nasza inteligencya wiejska protestuje! Poseł Kramarczyk w roku zeszłym oświadczył się za tym wydatkiem — liczne zgromadzenia wyborcze włościan nie tylko polskich, ale i ruskich oświadczyły gotowość płacenia więcej, byle szkołom zapewnić nauczycieli; oba kluby włościańskie w obecnej sesyi zajęły to samo stanowisko, — a tylko w klubach, złożonych prawie z samych właścicieli obszarów dworskich, podnosi się silna opozycya!

Niechże ci panowie porachują, że skoro sprawa ta wymaga podwyższenia dodatków o 1 centa — to b i e d n y chłop, który płaci 3 zł. podatku, zapłaci o 3 centy więcej, a dopiero przy 10 zł. podatku do płaci 10 centów. A ten zamożniejszy, który płaci 50 zł. rocznie, dopłaci 50 centów — a na całego guldena będzie się musiał ściągnąć dopiero ten, kto płaci 100 zł. podatku — a ten szcześliwiec, który płaci 1000 zł. podatku, dopłaci aż 10 zł. rocznie. Jakże można twierdzić tak śmiało, że to podwyższenie byłoby ruiną finansową i ekonomiczną — że kryzys rolnicza na to nie pozwala — że, jak to często usłyszeć można, nie podobna dla interesu nauczycieli, narażać interesów milionów włościan i całego rolnictwa! Wygląda to istotnie na żart — zwłaszcza teraz, kiedy w ostatnich trzech latach krajowe dodatki do podatków zniżono o 7 centów (z 68 na 61 ct.).

Więc się nikogo nie rujnuje tą ofiarą, której wniosek Wydział krajowego wymaga, a wymaga jej nie w interesie nauczycieli, ale w interesie k r a j u. Gdyby nie to przekonanie, że tu idzie o k r a j, o l u d, o jego przyszłość — że tu idzie o sprawę narodową, która tem silniej stanie im więcej światła w narodzie — z pewnością nikt by się tak natarczywie nie domagał tej ofiary. Kraj biedny, to prawda, więc sam wzgląd humanitarny nie wystarczałby na uzasadnienie zwiększonych wydatków. Ale ten wzgląd stoi tu na drugim planie — pierwszorzędnej zaś doniosłości jest to, że w interesie kraju obecny stan rzeczy dłużej utrzymać się nie da. A dowodzić chyba nie potrzebujemy, że wzrost oświaty jest warunkiem wzrostu sił produkcyjnych kraju, a zatem i jego bytu ekonomicznego.

Niech więc zaniechają swych prawdziwie wstecznych działań ci, którzy z gorliwością godną lepszej sprawy, siłą się na wyszukiwanie nowych pomysłów i nowych wniosków, któreby miały ratować tylko p o z o r y, a pozbawione były wszelkiej praktycznej doniosłości. Oszczędzić chcą — jak słyszymy — 30 tysięcy, a przez to 600 nauczycieli pozbawić tego s k r o m n e g o polepszenia bytu, jakie im projekt Wydziału krajowego przyznaje. Jeżeli to ma być konserwatyzmem — to chyba tylko skierowanym ku konserwowaniu ciemnoty.

Spodziewamy się, że większość Sejmu nie da się popchnąć na tę zgubną drogę.

* * *

*„Przegląd Wszechpolski" o stosunkach poznańskich.* W numerze 2. „P r z e g l ą d u W s z e c h p o l s k i e g o" czytamy.

Nie ma bodaj w świecie drugiego narodu, któryby, obok głośno wyznawanego patryotyzmu, posiadał taki brak zmysłu zachowawczego, takie lekceważenie swojej samodzielności, taką występną pobłażliwość dla obczyzny i wyrozumiałość dla wrogów. Kult cudzoziemczyzny, lękliwe niedołęztwo, a najbardziej zwyrodniały humanitaryzm składają się na wytworzenie tego objawu. Pisma nasze z podziwieniem zaznaczają, że Anglicy, tacy przecie cywilizowani, oburzeni na Niemców, wyrzucają ich z posad, zrywają z nimi stosunki handlowe, usuwają towary niemieckie. Jakże się dziwić nie mają, kiedy u nas po rugach bismarkowskich zaledwie kilka firm kupieckich i przemysłowych zerwało stosunki z Niemcami. Niedawno gazety niemieckie podały wiadomość, że jakiś stary szlachcic pokazał drzwi kupcom niemieckim, należącym do wrogiego nam bractwa H. K. T., ale dzienniki polskie nie chciały temu uwierzyć, tak ten fakt, zupełnie naturalny wydawał się im nieprawdopodobnym.

Jesteśmy dziś narodem najgrzeczniejszym, najbardziej humanitarnym, najpobłażliwszym dla innych, sądząc, że te właściwości są świadectwem naszej dojrzałości cywilizacyjnej. Niestety, nie są to przymioty panów cywilizacyi, ale jej lokajów. Bezwzględność narodowa, szorstkość, gwałtowność i t. d. nie przeszkodziły Anglikom, Niemcom i Francuzom zająć stanowiska naczelnego, owszem pomogły im do wysunięcia się naprzód w cywilizacyi. Naród, który silnie czuje swoją samoistność i ceni swoją godność, nie może być ani potulnym, ani ślamazarnie humanitarnym.

Taka dla wszystkich pobłażliwa miłość,
To nie jest wcale miłość, ale zgniłość...

słusznie powiedział już przed trzydziestu kilku laty Karol Baliński. Tolerancya, posunięta do zapomnienia o swoich własnych interesach, cierpliwie znosząca to nawet, co jest nam wrogiem i szkodliwem, nie świadczy wcale o wysokim rozwoju poczucia sprawiedliwości, ani o poszanowaniu praw cudzych, ale dowodzi jedynie braku przekonań lub braku charakteru. Musimy być silni jeżeli żyć chcemy, a egoizm narodowy jest koniecznym atrybutem siły. Człowiek, który nie ma w charakterze pewnej dozy egoizmu i bezwzględności, pomimo wszelkich zalet umysłu i serca nigdy nie wybije się w życiu, pozostanie zawsze, być może, sympatycznym, ale lekceważonym niedołęga. Naród, który podporządkowuje żywotne interesy swoje jakimś wyższym względom, który toleracyjnym krytycyzmem rozcieńcza swoją umysłowość, a ludzkością i pobłażliwością osłabia energię swoich uczuć, nie wytrzyma współzawodnictwa z innymi, nie nakładającymi sobie w dążeniu do celu żadnych hamulców.

*— ski.*

# SPRAWY EKONOMICZNE.

## Cena ziemi.

II.

Wedle wspomnianej już przez nas teoryi Rodbertusa, cena ziemi jest w stosunku prostym do renty gruntowej. — Prawo to wydaje się na pierwszy rzut oka niezbędną konsekwencyą twierdzenia, że cena ziemi jest jej skapitalizowaną rentą. — A jednak, przyznając słuszność założeniu, musimy podać w wątpliwość wyprowadzony zeń wniosek. Niema bowiem żadnego konkretnego ekonomicznego zjawiska, któreby warunkował jeden tylko, choćby najpotężniejszy czynnik; każde z nich jest wynikiem całej

---

stało w żałobie pomiędzy ruinami. Nagle zerwało się jak zranione zwierzę i pobiegło w noc ciemną, z oczami, w których świecący promień nienawiści rozjaśniał drogę. I wszędzie tam, gdzie spotykało swego brata sobowtóra, groziło mu zaciśniętą pięścią, ćwiczyło go rózgami drwiących słów i usta chustą mu zatykało, by stłumić straszny krzyk jego boleści...

Raz, o żniw porze, gdy księżyc opromieniał kłosy, siedzieliśmy oboje razem na łące, gdzie rzędem do bielenia porozkładana leżała bielizna.

„Powinieneś był raczej z nią odejść, niż tutaj zostać i mnie męczyć" — rzekła. „Do niej i do jej podobnych stosujesz się, nie do mnie".

Wtedy zaśmiał się jeden szyderczo we mnie, drugi uczuł wyrzuty sumienia.

„Najlepiej będzie, że się rozstaniemy, nie jesteśmy stworzeni dla siebie".

Wtedy zaśmiał się jeden we mnie, drugi skurczył się jak robak.

„Czemu przestąpiłeś próg naszego domu? Byłabym wolała nie poznać cię wcale".

Zmiarkowałem się, że byłem sam. Księżyc stał wysoko na niebie, długie cienie rzucając na ziemię. Podniosłem się, poszedłem do domu. Ktoś szedł za mną; przystanąłem, aby zobaczyć, kto to taki. Ale, gdym się zatrzymał, to i tamten stanął; rozpoznałem go wtedy: to był *on, ten drugi.* Począłem biedz, aby go się pozbyć, ale i on biegł także; szedłem wolno, by mnie minął, ale on zastosował się zaraz do mego kroku. Zawsze umiał zachować równą odległość. Raz w twarz mu zajrzałem. Była pełna smutku, głowę na bok przechylał. Wyglądał jak bezdomny, który nie ma dachu, pod którymby noc spędził i nie wie, gdzie schronienie mu dadzą.

Gdym dotarł do domu i stanął na progu, zdawało mi się, że go znów dostrzegam ze smutnemi, błagającemi oczyma — zerwał się, by biedz do mnie, zdołałem jednak drzwi przed nim zamknąć.

Od czasu tego dwakroć pukał do drzwi moich; wstrzymując oddech, słyszałem, jak czekał, czy go nie wpuszczę, ale nie mogąc się doczekać, odchodził wolno, a ja śledziłem jego kroki, dopóki nie przebrzmiały wśród ciszy nocnej.

Jednej nocy, budząc się, znalazłem go w moim łóżku. Ciemno było, nie widziałem go, tylko czułem jego obecność. Zapaliwszy świecę, widziałem, jak skulony spoglądał na mnie błagalnie. Co nastąpiło — nie wiem, gdym znów do siebie przyszedł, księżyc oświetlał pokój, jam leżał w poprzek łóżka, świeca na ziemi.

Więcej jak miesiąc upłynął od tej nocy; nie widziałem go od tego czasu, ale czuję, jak co drugą noc obchodzi wokoło domu; niedługo znów znajdę go w mojem łóżku; odczuwam zbliżenie się jego we wszystkiem, w szumie lip, w smutnej muzyce, w zmroku i — teraz właśnie widzę go w długich cieniach, z księżyca na ziemię padających. Jest on bezdomnym; sumienie mnie gryzie, że mu na noc nie odstąpiłem łóżka; ale jest on przytem nieprzyjacielem moim, pasożytem, który ssie krew moją i którego w końcu zabić mi przyjdzie!..."

VIII.

Wolno wracałem do siebie, przechodząc znowu obok dawniejszej własności mego przyjaciela, której widok obudził we mnie wszystkie wspomnienia, szczególniej wspomnienie owej pamiętnej nocy. Zmrok zapadł zupełnie, światełka wszędzie błyszczały. Wicher się zerwał i tak, jak wówczas nad moją głową trząsł temi samemi lipami, których szum nakłonił go ongi do opowiedzenia mi smutnej swej historyi. Myślałem, że to pewnie podobna noc, jak dzisiejsza, być musiała, i że lipy szumiały tak samo, jak teraz właśnie, gdy znalazł tamtego drugiego w swoim łóżku. Bo jednego poranku, krótko po opowiedzeniu mi smutnej historyi życia, znaleziono go w łóżku martwego, z zaskrzepłą już krwią, z raną w sercu, którą sobie sam zadał. Domyślano się, że uczynił to w chwili szału, ale któż zbada rozterkę jego duchową, która go skłoniła do zatopienia noża we własnem sercu, w pełnej wierze, że narzędzie mordercze kieruje w piersi tamtego... drugiego człowieka?

K O N I E C.

masy krzyżujących się sił i dążeń; takiem jest prawo ogólne, podlegają mu i ceny wszelkich dóbr ekonomicznych. Ztąd działanie ich twórczego pierwiastku nie okazuje się nam nigdy w swej czystej, wolnej od postronnych wpływów, formie, — przeciwnie, cała masa najprzeróżniejszych konjunktur modyfikuje je wciąż, to w tym, to w innym kierunku. Oczywiste ujęcie w ścisłą formułę tylu różnych tendencyi, wynikających przytem z najrozmaitszych źródeł, przedstawia niemało trudności. Nie przechodzi ono jednak sił umysłu ludzkiego; dowodem czego chociażby sławne żelazne prawo Ricarda, wedle którego wahania się cen towarów dają w przeciętnej wartość odpowiednich dóbr gospodarczych. Dokładniej wyrażone brzmi ono w następujący sposób: wyższe po nad wartość ceny sprowadzają nadprodukcyę, zaofiarowanie wzrasta w stosunku do zapotrzebowania; ceny spadają coraz niżej, wskutek czego kapitały wycofują się z nierentującej już gałęzi produkcyi, — to wszystko trwa, dopóki zapotrzebowanie nie przewyższy na tyle zaofiarowania, by ceny poczęły znowu iść w górę itd. Sto lat już niemal mija od sformułowania tego prawa — i doświadczenie przyznało słuszność twierdzeniu angielskiego ekonomisty, lecz ziemia to całkiem odmienny od innych towar. I to, co okazało się prawdą w zastosowaniu do ogółu cen, pozostaje bez znaczenia, gdy o nią chodzi. Grunta bowiem nie są produktem pracy ludzkiej i ilość ich nie może być dowolnie zwiększaną. O nadprodukcyi więc ziemi nie ma mowy.

Co więcej jednak, wraz wzrostem cen ziemi zmniejsza się nawet jej zaofiarowanie. Dobre czasy nie usposabiają bowiem gospodarzy do wyzbywania się swych majątków. Wręcz przeciwnie nawet ci z pośród nich, którzy nie widząc sposobu poprawienia interesów, gotowi już byli uciec się do tego ostatecznego środka — sprzedaży, gdy zboże pocznie lepiej płacić, a wraz z tem renta i cena ziemi idą w górę, nabierają otuchy, wiary w lepszą przyszłość i trzymają się oburącz swej ojcowizny. Zapotrzebowanie jednak wzrasta coraz bardziej, gdyż własność ziemska staje się lepszą lokacyą zarówno dla produkcyjnych, jak i dla spekulacyjnych kapitałów. W ten sposób rynek kształtuje się coraz korzystniej dla sprzedawców, zapotrzebowanie wzrasta wciąż w stosunku do zaofiarowania i wskutek tego cena gruntów rośnie jeszcze bardziej.

Możemy więc powiedzieć, że każda zwyżka cen ziemi rodzi nową zwyżkę siłą zawartej w niej dążności progresyjnej. Wyrażając się zaś ściślej i biorąc pod uwagę stosunek cen ziemi do wysokości renty, sformułujemy to prawo w następujący sposób: c e n a z i e m i w z r a s t a s z y b c i e j o d r e n t y, przyczem r ó ż n i c a wynikła ztąd między niemi rośnie w c i ą ż, p ó k i s t o s u n e k r e n t y d o c e n g r u n t ó w n i e s p a d n i e poniżej p r z e c i ę t n e j s t o p y p r o c e n t o w e j. Wręcz odwrotny jednak stosunek zapanowuje, gdy dla rolników „złe czasy“ nastają. Co prawda, na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że stosunek podaży do popytu powinien i tu również wywołać szybszy ruch cen ziemi, niż renty. Coraz trudniej bowiem wtedy o nabywców, gdy natomiast liczba właścicieli ziemskich, gotowych ratować się sprzedażą majątku, rośnie z dniem każdym. Lecz zaofiarowanie nie polega jedynie na życzeniu pozbycia się własności. — Jednego tego czynnika jeszcze nie dosyć, by stało się ono czynną ekonomiczną siłą. By stać się nią, musi ono przybrać konkretną formę, — przejść z zakresu mglistych życzeń w sferę jasno określonych żądań. I dopiero wtedy, gdy wyrazi się jako pozytywna chęć sprzedaży za taką a nie inną cenę, rynek pocznie się z niem rachować i przyzna go za czynnik kształtujący ceny. —

Działanie podaży w ostatnim tym charakterze da się zwykle wyrazić w następujący sposób: gdy liczbę konkurentów i zaofiarowanych dóbr uznamy za wielkość stałą, wysokość cen znajdować się będzie w stosunku prostym do wysokości szacunku wyrażonego przez sprzedawców. Gdy zaś ta ostatnia pozostanie niezmienną, wtedy ceny staną w odwrotnym kierunku do ilości zaofiarowanych dóbr. Transakcye ziemią wyłamują się i pod tym względem z pod panowania ogólnych praw. Sprzedawcy bowiem ziemi w znacznej większości wypadków pozbywają się swej własności nie w celach zarobkowych, jak to czynią zawodowi przemysłowcy i kupcy, lecz jedynie w wyjątkowych razach, gdy dochód ziemi nie wystarcza na opędzenie codziennych potrzeb, — dający się więc zauważyć w chwili t. zw. „złych czasów“ wzrost podaży wypływa w pierwszym rzędzie z nadziei właścicieli, na wycofanie z majątku drogą sprzedaży kapitału, któryby dozwolił im na utrzymanie nadal tej samej co wprzódy stopy życiowej. — Własność ziemska nie gwarantuje im tego, starają się więc o gotówkę, wierząc, że handel lub przemysł da im większe niż rolnictwo odsetki. Lecz w obec tego, pomimo najgorętszej chęci sprzedania swych gruntów, zgodzą się oni na pozbycie się ich jedynie za cenę, przewyższającą sumę, wynikającą ze skapitalizowania otrzymywanej przez nich w danym czasie renty. Wszelka inna tranzakcya nie przedstawiałaby dla nich żadnych zgoła korzyści. Taką jest psychologia stosunkowo jeszcze dobrze sytuowanych sprzedawców ziemi. A gdy zwrócim wzrok nasz w stronę rolników, jęczących pod brzemieniem nadmiernych długów, zobaczym, iż cenią oni zawsze swój majątek powyżej prawdziwej jego własności. I nie dziwota. Specyficzne stosunki rolnicze pozwalają im dziesiątki lat trzymać się przy swej ojcowiznie, przetrwać we względnym dobrobycie z dnia na dzień, cieszyć się wyższem stanowiskiem towarzyskiem, — gdy tymczasem likwidacya majątku strąciłaby ich w szeregi wykolejonych, bezdomnych proletaryuszów. Jasnem jest, iż w podobnych warunkach liczba konkurentów może minimalny tylko wpływ wywierać na kształtowanie się cen, niemożliwość bowiem sprzedania ziemi jest „en régle“ mniejszem złem, niż niekorzystne jej sprzedanie.

Z drugiej strony kupujący są nawet w czasie zniżki cen zbożowych skłonniejsi do ustępstw, niż sprzedający. Tylko bowiem wierząc, iż dalszy spadek renty nie długo już potrwa i że wkrótce dochody z rolnictwa się zwiększą, mogą sobie życzyć naby-

---

K. ROJAN.

# W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Przyczyną ostatnich domowych niesnasek, była sympatya obu kobiet do pięknego Dynieckiego.

Pani Borajska wysnuła sobie z kilku żarcików i uśmiechów miłego gościa, że głębokie na nim uczyniła wrażenie. A że to przekonanie wielce pochlebiało jej próżności, uważała więc Dynieckiego za swego wielbiciela, do którego, na razie przynajmniej, żadna z kobiet nie powinna rościć sobie prawa, a tem mniej Lola — ta wyrodna pasierbica Lola... ta niegodziwa jaszczurka Lola.

Tymczasem zmysł spostrzegawczy pani Borajskiej, aczkolwiek słabo rozwinięty, od razu rozpoznał w Loli rywalkę.

Zkądinąd nie było to rzeczą wcale trudną.

Młoda, niedoświadczona dziewczyna, olśniona pięknością dorodnego chłopca, zakochała się w nim od razu szczerze i namiętnie. Takie uczucie, owiane tęsknotą, rozkoszne i przygniatające, poniekąd ślepe, nie łatwe jest do ukrycia; zresztą Lola nie myślała z tego czynić tajemnicy, a jeżeli nie spowiadała się przed panią Borajską, to głównie dla tego, że z macochą w ogóle rozmawiać szczerze nie lubiła i nie umiała, a powtóre nie była dotąd pewną wzajemności Dynieckiego.

Piątego dnia po imieninach, wyszła pani Borajska z kucharką do miasta po ważniejsze zakupna. Wieczorem znowu miało być kilka osób na kolacyi. Do Borajskiego zaprosili się towarzysze wspólnego stolika od Bronarza na dalsze narady nad kasą zaliczkową z ograniczoną poręką, prócz tego po południu miała odbyć się pierwsza próba amatorskiego przedstawienia. Możliwem więc było, że Dyniecki dłużej zabawi i zostanie na kolacyi.

Lola uczuwszy się samotną w domu, usiadła przy oknie i przez dłuższą chwilę spoglądała bezczynnie na ulicę. Od imienin żadna praca nie sprawiała jej przyjemności. Myślała, czy też nie ujrzy go bodaj z daleka, na zakręcie ulicy, bodaj przez minutkę tylko, przez jedyną minutkę. Do wieczora tyle jeszcze godzin czekania... Ludzie przechodzili, wozy toczyły się szybko, Dynieckiego widać nie było.

Aż nagle widzi go! — niestety widzi w towarzystwie powracającej z miasta macochy.

Rozmawiają wesoło. Macocha robi czułe oczy. Zdala wydawać się mogło, że Dyniecki opowiada jej coś zajmującego, a ona słuchając, daje częstem poruszeniem głowy do poznania, że go rozumie.

Widok ten oburzył Lolę do głębi. Uczuła w sobie taką złość do macochy, że gotową była bezzwłocznie, jak tylko wejdzie do pokoju, wyrządzić jej przykrość.

W parę minut potem weszła do jadalni pani Borajska uśmiechnięta, uradowana, słowem promieniejąca. Rozmowa z Dynieckim uszczęśliwiła ją nadzwyczajnie. Wprawdzie był on trochę swawolnym, ale takiemu pięknemu chłopcu wiele się wybacza. Opowiadał jej o różnych awanturkach krakowskich, o wesołych kobietkach, o ładnych mężatkach, które zwodzą starszych mężów bez żadnych skrupułów sumienia, udowodniał nawet, że wszelkie skrupuły tego rodzaju, w dzisiejszych postępowych czasach, są po prostu bezsensem, i różne tym podobne prawił jej rzeczy, pełne dwuznaczników i domyślników.

W ogóle, Dyniecki zachowywał się — według jej niezbyt wydelikaconego pojęcia — nadzwyczaj poufale i po przyjacielsku. W bramie przy pożegnaniu trzymał i ściskał zbyt długo jej rękę w swej dłoni. Czyż więc nie miała powodu do szczerej radości?

Rozbierając się, rzekła tedy jakby od niechcenia:

— Spotkałam się na rynku z Dynieckim. Odprowadził mnie aż do bramy. Bawiliśmy się przez cały czas doskonale.

Miało to być wskazówką dla Loli, że Dyniecki nie do niej należy.

Lola pobladła, wykrzywiła usta bolesnym grymasem, a patrząc wciąż w okno, zauważyła złośliwie:

cia własności ziemskiej. — Wynikająca więc ze starcia się zaofiarowania i zapotrzebowania cena gruntów bliższą będzie szacunku wyrażonego przez sprzedawców niż przez nabywców i *spadek jej powolniejszym, niż renty gruntowej.* —

Wyprowadziliśmy powyżej dwie różne formuły, wyrażające dynamiczny stosunek cen ziemi do wysokości renty gruntowej. Łącząc je w jedno, otrzymujemy następujące prawo: *ruch cen ziemi odbywa się w kierunku ewolucyi renty gruntowej, wynikającej z wahań cen zbożowych; nie jest z nią wszakże identyczny. Zwyżka bowiem cen ziemi szybszą jest od zwyżki renty, zniżka natomiast powolniejszą.*

*Str.*

## LITERATURA I SZTUKA.

# Akordy jesienne.

IV.

W blaskach świtu duch młodości zza jesiennych mgławic wstał —
Idzie ku mnie z łąk zapachem, z barwą kwiatów, [z szumem drzew;
Fale żyta płyną za nim, niby świetnej rzeki wał,
Świeże bruzdy w ślad się dymią, skowrończany strzela [śpiew,

* * *

Idzie ku mnie, jakby wiatru marcowego dmący zew —
Z nadziejami idzie ku mnie, które w łona sennych ciał
Zapragnęły w lwim porywie wlać heroów wrącą krew,
Tak, bajecznych waligórów, zaród zwycięstw, zaród [chwał!

* * *

Idzie — w drodze kształt swój zmienia: Apolina [gładką skroń
Na pochmurne zmienia czoło, pełne krwią nabiegłych [żył,
Lutnię zmienia w pług żelazny, na siermięgę chiton [muz,..

* * *

Idzie — idzie — na globusie zolbrzymiałą kładzie [dłoń,
Świat wywraca w jego osiach, wielkie morza w dżdży- [sty pył,
Wielkie góry zimowładne w piarg roztrąca, w marny [gruz.

V.

Śnie młodości! przez szarugi, przez bijący w oczy [śnieg
Skrzydłem wiary prułeś przestwór, który nie znał, [co to kres:
U piór twoich tłum nie jeden i nie jeden zawisł wiek,
Gad nie jeden cię owinął i nie jeden warknął pies.

* * *

Czem był tobie płacz najdroższych? czem szyderczy [śmiech i stek
Ośliniałych klątw motłochu? Czem był tobie Bóg [czy bies?
Mknąłeś, groble rwąc i mosty, parłeś z hukiem gór- [skich rzek —
Wrzała moc w twej rajskiej krasie, boś był z ludu [krwi i łez...

* * *

Śnie młodości! wracasz znowu? Ha! wyrzuty płyną-ć [z ust?
Poorane masz oblicze? z czoła ścieka zimny pot?
Stój.., Weronik daj mi łaskę, zmień mą duszę w szmat [ich chust —

* * *

Zostaw ślady swego lica!... Wszakże w mgle jesiennych [dni
Nie straciła swego blasku, mimo wichrów mimo słot,
Matka twoja, duma święta, żem jest z ludu łez i krwi.

VI.

Dmij wichuro! Z zwiędłych koron te cmentarne [drzewa łuszcz
I w szalonej mieć zawiści coraz wyżej na mój grób!
Dmij, wichuro! strzaskaj płytę, nieśmiertelny połam [bluszcz,
Nasyp z gliny zrównaj z ścieżką dla zawziętych [marnych stóp.

* * *

Z korzeniami wyrwij jodłę, przeniesioną z gęstych [puszcz,
Próchniejące kości roznieś — suche kości to twój łup,
Lecz nic więcej! ten, co sycił moją pieśń, żywotny [tłuszcz
Wsiąkł już w rolę, już z nią zawarł niezniszczalny, [wieczny ślub.

* * *

Dmij wichuro! dmij bez miary! Widzisz, jak się [spełnia cud?
Rój żniwiarzy zbiera plony, co wyrosły z moich dum
Przygłuszyłeś moje imię — pamięć w ciemną-ś stracił [noc —

* * *

A mych zwątpień, mych zachwytów niedaremny wszak [był trud —
Kłosom z moich ziarn powstałym błogosławi boży tłum:
W mych zwątpieniach, w mych zachwytach była [jego krew i moc.

*Jan Kasprowicz.*

# Fin de siècle.

*(Teodor Jeske-Choiński. Rozkład w życiu i literaturze. Studyum. Warszawa 1895.)*

Literatura francuska lat ostatnich kilkunastu wydała sporą liczbę dzieł wprawiających w podziw przeciętnego czytelnika niezwykłością treści i formy. Znajdujemy tam nietylko lubowanie się zmysłowością, nietylko sceptycyzm posunięty do ostatnich granic, lecz także uwielbianie grzechu i wynoszenie go do godności cnoty, nienawiść do wszystkiego, co świat chrześciański uważa za dobre i wzniosłe, i rozkoszowanie się rzeczami brzydkiemi a nawet wprost wstrętnemi, trupami cuchnącemi i toczonemi przez robactwo, szkieletami. kałem i t. p. Autorowie dzieł tych dbają nadzwyczajnie o doskonałość formy zewnętrznej, ale równo-

— Pomagał może mamie u przekupek jarzynę targować? Na prawdę, musiała tam być bardzo wesoła przy stragганie rozmowa. I temat zajmujący, i pora taka urocza: buraki, kartofelki, cielęcina...

— Żal ci może, żeś ty tam nie była? Czemuś nie poszła i nie siadła za straganem? Tam jest miejsce w sam raz dla ciebie. Język masz już do tego doskonale wyuczony.

— I nic dziwnego — odcięła się Lola, — Kto przez trzy lata pozostaje w szkole pani Borajskiej, ten może wykształcić się wszechstronnie. Co zaś do miejsca, to sądzę, że dzisiaj byłoby ono właściwsze dla mamy niż dla mnie. Chodząc dłuższy czas z panem Dynieckim po rynku, musiała mama zziębnąć cokolwiek w nóżki.... trzeba więc było przeprosić którą z poczciwych przekupek i dla rozgrzania się posiedzieć chwileczkę nad garnkiem z węgiami. Byłoby to dla mamy jak na dziś miłem, a przypuszczam, że żadna z nich nie byłaby mamie odmówiła tej dobrej koleżeńskiej przysługi....

Powiedziawszy to wybuchnęła głośnym śmiechem.

Po każdym takim śmiechu popadała pani Marcysia w pasyę. I tym razem stuknęła szufladą od komody, potrąciła krzesło i wybiegła do kuchni, zatrzaskując drzwi za sobą.

Lola upadła na kanapę, załamała ręce i szepnęła blademi ustami.

— Boże, jaka ja nieszczęśliwa! Zawsze tak, zawsze tak!... Kiedyż się to już raz skończy?

Po chwili jednak pogodniejsza jakaś myśl rozweseliła jej oblicze. Wstała, podeszła do lustra i poczęła w nim przeglądać się sobie.

— E, — zauważyła — będzie jeszcze kiedyś inaczej

Tymczasem w kuchni pani Borajska wiodła nader żywą pogadankę z kucharką, w zakończeniu której, otrzymała stara „odwieczna“ sługa Borajskich, ulubiona panienki, głośny policzek.

Lola zatrzęsła się znowu.

W tej chwili wpada zaperzona Marcysia do pokoju i z twarzą zwróconą w kierunku kuchni, dorzuca jeszcze kucharce to, co w pasyi zapomniała jej na miejscu dopowiedzieć.

— Masz, żebyś pamiętała na drugi raz, że w obec pani należy trzymać język za zębami. Dobrze ci tak!

Usiadła rozłoszczona.

Lola, nie zważając na gniew macochy, pogląda dalej w zwierciadło.

Niepodobało się to pani Marcysi.

— Lolu, kiedy ty się już raz przestaniesz mizdrzyć do lustra. Zamiast zająć się jaką poważną robotą, stoisz w lustrze i mizdrzysz się tylko, mizdrzysz! Aj, aj, żebyś wiedziała jakaś ty piękna!

Lola nie odwraca się.

— Co mamie szkodzi moje mizdrzenie — odpowiada na pozór spokojnie, obojętnie.

— Nie lubię tego i już.

— Mama wiele rzeczy nie lubi.

— Proszę cię, nie odpowiadaj, jeżeli ci zrobię jaką uwagę, to tylko po to, żebyś wiedziała, co uchodzi, a co nie uchodzi. Jesteś jeszcze zbyt młoda, żebyś mogła sama za siebie odpowiadać. A jeżeli zrobisz coś niemądrego, to świat i ludzie nie powiedzą, żeś ty tymu winna, ale wskażą palcem na mnie.

— Niech się mama nie obawia, już ja się potrafię zachować tak, jak potrzeba.

— A, pewnie. Już ty się zachować potrafisz! Widzieliśmy jak się zachowałaś na imieninach z Dynieckim, podczas kolacyi! Narzucać się komuś, to ty potrafisz, pewnie, pewnie!...

Lola spłonęła rumieńcem. Odwróciła się i krzyknęła głośno:

— Mamo, prosiłam już raz nie wspominać mi o Dynieckim w podobny sposób. Ja mu się wcale nie narzucam. A że mi się podoba, z tem się nie taję i cóż mi kto zrobi?!

— Ślicznie, bardzo pięknie. Tak mówi panienka, co chodziła siedm lat do szkoły.. a, bardzo ślicznie.

Zerwała się z krzesła.

— Ależ dziewczyno, upamiętaj się, ludzie wezmą cię na języki i suchej nitki na tobie nie będzie.

— Niech mówią, co im się podoba. Ja sobie z ludzi nic a nic nie robię.

cześnie usiłują wyrażać się jak najoryginalniej, używają chętnie zwrotów i słów niezrozumiałych, dzikich przenośni i paradoksów, piszą językiem stanowiącym często gmatwaninę słów na oko nie powiązanych żadną myślą, bawią się w fonetyzm i symbolizm. Nazywamy ich zwykle „dekadentami“.

Charakterystyka tych pisarzy, rozbiór dzieł ich i pogląd na stosunki etyczne, na których tle powstali, — oto treść nowego studyum Jeske-Choińskiego. Opiera się ono, tak samo jak poprzedzające je „Na schyłku wieku“, na znanem dziele Nordaua „Entartung“ i nosi wszystkie znamiona ducha swego autora.

Chodziło Jeske-Choińskiemu o dowody, jak nisko pod względem moralnym i umysłowym upadło społeczeństwo europejskie. Przystąpił więc do dzieł dekadenckich z miną moralisty i człowieka prostego rozumu, powypisywał z nich charakterystyczne ustępy, zaopatrzył w swoje komentarze i dał pogląd na życie autorów. Nie myślimy rozbierać krytyki jego szczegółowo, bo zaprowadziłoby to nas za daleko. Powiemy tylko krótko, że wypadła jak najniekorzystniej. Spoglądając na świat z ciasnego stanowiska człowieka, który, przyjąwszy pewną doktrynę, zżył się z nią i używa jej za klucz do wszystkich zagadnień, a wszystko, co z nią sprzeczne, za błąd uważa, nie zrozumiał Jeske-Choiński natury „dekadentów“. Dostrzegł w dziełach ich tylko to, co wstręt w nim budziło: bluźnierstwa, uwielbienia grzechu, zmysłowość, lubowanie się w rzeczach brzydkich i nazwał ich wszystkich bez wyjątku zbrodniarzami lub waryatami; zboczeniem umysłowem lub wyuzdaniem tłomaczy też zachodzące w ich utworach sprzeczności, a mianowicie czasową ich wiarę w Boga, dochodzącą do egzaltacyi.

A przecież potrzeba tylko nie zamykać oczu, aby rozwiązać zagadkę natury dekadentów. Są to rzeczywiście ludzie chorzy — jak pisze Choiński — ale chorzy nie na umyśle, lecz na brak ideału, któryby im przyświecał w życiu, na tęsknotę za tem dobrem najwyższem, którego przeczuwają istnienie, a którego nie umieją znaleźć, na żądzę namiętną zapełnienia próżni swego serca. Przekosztowali wszystkie systemata filozoficzne, a żaden ich nie zaspokoił, żaden nie ostał się przed ich krytyką. I oto błądzą samotni wśród świata bez świadomości celu swego istnienia i, przerzucając się z ekstremu w ekstrem, szukają prawdy to w objęciach kochanki, to w rozpuście, to w zbrodni, to u stóp ołtarza, to znów w ciszy grobowej wśród trupów i szkieletów lub w świecie fantazyi. Ale nie znajdują jej nigdzie i dla tego, rozgoryczeni, gardzą wszystkiem tem, co zawiodło ich nadzieje, bluźnią Bogu i ludziom i samym sobie. Pozostał im sam tylko świat fantazyi, poezyi i jej poświęcają swe żale.

A ta poezya niezwykłą jest, jak ich pragnienie. Jeske-Choiński nic rozumie jej, bo czyta tylko oczyma i w zdaniu każdem szuka myśli okrągłej. Zrozumiałby ją, gdyby szukał w niej raczej tego pragnienia, którego jest wyrazem. Forma utworów dekadenckich odpowiada zawsze wewnętrznemu nastrojowi poety. Jest jasną i zrozumiałą, kiedy mniema ugasić swą żądzę w świecie rzeczywistym, w objęciu kochanki, czy w grobie, czy przed ołtarzem Boga, i kiedy szydzi z wszystkiego, co nie dało mu prawdy. Kiedy zaś ucieka się do własnej duszy, do własnej fantazyi, do marzeń nieokreślonych i kołysze się w pewnem nastroju umysłowym, na którego tle nie występują jasne, ujęte w zdania obrazy, wtenczas i wiersz jest nieokreślony i zawiera tylko zestawienie tych przedmiotów, które w takiej chwili zadumania przesunęły mu się przed oczyma duszy. Są to przedmioty najróżniejsze, tak samo jak we śnie, nie stojące z sobą często w żadnym związku logicznym; ale razem wziąwszy, stanowią całość, wywierającą pewne jednolite wrażenie i budząca jasno określone uczucie. Wszystko razem składa się na to, co Niemcy w malarstwie nazywają „Stimmung“: i wywołanie u czytelnika takiego nastroju tylko przez podsunięcie pewnych przedmiotów jest zamiarem poety.

Taki sposób wywoływania wrażeń mógłby zresztą Jeske-Choińskiemu znanym być z malarstwa. Jak pewni — choć nie najlepsi pewno — malarze francuzcy rzucają na płótno tylko farby bez jasno określonych konturów i postaci, pragnąc aby widz, wpatrzywszy się w nie, przez autosugestyą i współdziałania kolorów, sam sobie z nich utworzył obraz: tak symboliści-dekadenci podają w niektórych swych utworach tylko zdania oderwane, pewne przedmioty i nastrój, a uzupełnienie i wykończenie obrazu w szczegółach pozostawiają czytelnikowi.

Jest to dziwactwem, ale znowu nie rzeczą absolutnie nie zrozumiałą. I przypisywanie dźwiękom kolorów, któremu symboliści uzasadniają swój pilnie pielęgnowany fonetyzm, powinien by autorowi „Rozkładu“ być znanym także po za ich dziełami i teoryami.

Ale nie o dekadentyzm i jego odcienia chodzi w rzeczy samej Jeske-Choińskiemu. Służy on mu tylko za ilustracyą niezdrowych stosunków etycznych nowożytnego społeczeństwa. Właściwym celem jego studyum jest wytłomaczenie przyczyn moralnego upadku, i jemu poświęcił pierwszą połowę swego dziełka.

Korzystając ze spostrzeżenia, że zachodzi pewna analogia pomiędzy schyłkiem 19 wieku a czasami walącego się Rzymu, wciągnął Jeske-Choiński Rzym cezarów do swych kombinacyi i stara się wykazać, iż upadł dla braku wiary, z powodu pogardy, w jaką podał religią. Drukowana równocześnie z „Rozkładem“ powieść „Gasnące słońce“ miała teoryę tę wyjaśnić i uplastycznić, pokazać czytelnikowi naocznie, co się działo w Rzymie w pierwszych wiekach ery chrześciańskiej, i wykazać, że społeczeństwo takie utrzymać się nie mogło. Tym samym brakiem wiary, który wszechpotężnej stolicy cezarów wytrącił z ręki berło całego świata, tłomaczy Jeske-Choiński zjawiska etyczne i społeczne dni naszych. „Jak upadającemu Rzymowi — pisze na stronie 56 — braknie i naszym czasom przedewszystkiem słońca religii.. braknie nam tej najlepszej pocieszycielki, tej mistrzyni czystego życia i pogodnej śmierci.

Przypuśćmy, że tak jest rzeczywiście. Ale co jest przyczyną tego braku wiary? Nie próżno autor „Rozkładu“ cieszy się w Warszawie mianem „nieprzyjaciela rozumu“.

---

— Byłaś i zostaniesz krnąbrną, niepoprawną złośnicą.

— Może mi mama dać taką nauczke, jaką dała przed chwilą kucharce. Proszę!.. Ona, zdaje się, była także krnąbrną i niepoprawną, moja poczciwa, stara Katarzyna... była także krnąbrną i niepoprawną, nieprawdaż?

Pani Marcysia zagryzła wargi.

— Żebyś wiedziała, że mię ręka świerzbi. Ale nie wiem co zrobię, idę zaraz do ojca i wszystko mu opowiem.

Wybiegła na kurytarz i po schódkach podążyła na poddasze, gdzie Borajski miał swoję kancelaryę i rankami zwykle przeglądał rachunki lub zapisywał zamówienia i załatwiał wypłaty.

— Idź, pani Borajska, idź — mruknęła Lola, spoglądając za nią — idź i powiedz wszystko ojcu. Możesz dodać jeszcze dwa razy tyle, niżeli prawda. Proszę cię, użyj sobie do woli... ale nie bij na drugi raz służącej, bo ja się za to mszczę!

Do jadalni wszedł Smolarz z papierem w ręku. Ukłonił się i rzekł, spoglądając przez drzwi do przyległego pokoju:

— Przyszedłem do pana Borajskiego.

— Ma pan jaki rachunek do płacenia?

— Nie. Trzebaby ten kwit podpisać.

— Zaczekaj pan tutaj. Jeżeli ojciec jest u siebie na górze, to przyjdzie tu za chwilę, aby mnie ukarać. Więc się pan z nim rozmówisz.

— Co też panna Lola mówi? — bąknął zakłopotany Smolarz, nie wiedząc jak sobie tłomaczyć niezwykły ton słów rozgoryczonego dziewczęcia.

— Nie. Matka poszła właśnie na górę naskarżyć przed nim na krnąbrną, niepoprawną córkę, więc powinien zrobić jej przyjemność.

— Hm.. — pokręcił głową. — Lepiej zatem, gdy ja ztąd zaraz pójdę. Panna Lola będzie taka łaskawa i poprosi pana Borajskiego, żeby ten kwit podpisał.

— Połóż go pan na stole.

Gdy Smolarz był już na progu, przywołała go napowrót:

— Panie Franciszku...

— Co, proszę?

— Czy to prawda, że masz pan zamiar lada dzień nas porzucić? Mówiła mi o tem Anulka.

— No, cóż?... Od dawna mam zamiar pójść w szeroki świat.

Lola uśmiechnęła się smutnie i zauważyła żartem:

— Weź i mnie pan z sobą w ten świat szeroki. Mnie tu tak nie dobrze, tak bardzo nie dobrze...

— Panna Lola chyba żartuje...

— Tak jest, żartuję, ale i pan żartujesz, nieprawda? Gdzieżbyś pan nas opuścił... pan, nasz dobry przyjaciel!... osobliwie teraz, gdy w powietrzu tyle ciekawych rzeczy wisi. A któżby zresztą grał tego lokaja w komedyi, gdyby pana nie stało?

— Ha, trudno... przyjęłaby panna Lola innego na służbę.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Borajskiego.

Tatku, pan Franciszek przyniósł kwit do podpisu. Jest tam na stole.

— Aha, dobrze, dziękuję panu. Zaraz go zaniosę sam do pracowni, jak tylko podpiszę.

Po odejściu Smolarza usiadł przy córce, wziął ją za rękę i począł mówić:

— Słuchaj Lolu, co ty dziecko wyrabiasz? Matka przychodzi, skarży się, płacze, narzeka na ciebie... Fe, Lolu, to nie ładnie.

— A ja, mój ojcze kochany, nie przychodzę, nie skarżę się, nie narzekam i nie płaczę — a przecież być może, że i ja także miałabym trochę powodów do skargi i płaczu...

— No, widzisz moje dziecko — pocałował ją w czoło — ja przecież nie mówię, żebyś ty tylko sama była winną. Jednak ona jest starszą, jest twoją przybraną matką... no, myśli zawsze jak najlepiej o twojem szczęściu... a że się czasem uniesie i głośniej krzyknie — to już jej taka natura popędliwa. Więc powinnaś mieć wzgląd, powinnaś zawsze ustąpić.

— Masz słuszność, mój ojcze. Sama czuję, żem powinna ustąpić... tylko nie zawsze, ale na zawsze. Ty masz z naszej winy najwięcej zgryzot, bo chciałbyś, abyśmy się kochały i zgadzały, to jednak prędzej nie nastąpi, aż jej z oczu zejdę. Wydaj mię, mój tatku za mąż, a będziemy wszyscy troje szczęśliwi. Ty będziesz miał spokój, ja własny kąt, a matka niepodzielne

Kto go zna, nie mógł wątpić, że wszystko złe i wszelkie nieszczęście zwali na rozum nieznośny i filozofię. Kombinacya jego jest tak prosta jak znana. Dopóki ludzkość wierzyła w prawdy religii i stosowała się do nich w życiu, działo się dobrze na świecie. Ale z czasem pojawił się na widowni nieszczęsny rozum, zaczął rozglądać się około siebie, powątpiewać o tem i owem, tłomaczyć na własną rękę niektóre zjawiska życia i przyrody, aż nareszcie przystąpił do krytyki prawd objawionych, a ponieważ pojąć i zgłębić ich nie mógł, odrzucił je jako fałszywe. Z wiarą stracił człowiek podstawę moralną, cel swego istnienia; że zaś odczuwał potrzebę zasad, któremi by się kierował w życiu, — jakiejkolwiek teoryi, któraby usunęła strach jego przed śmiercią i uzasadniła cnoty, bez których życie stałoby się walką wszystkich przeciw wszystkim, uciekł się znów do rozumu i kazał mu wymyślić prawdy nowe, własne. I oto powstały różne systemata filozoficzne. Wspólną ich cechą jest odrzucenie religii objawionej, wspólnym celem stworzenie normy, według której ludzkość by nadal istnieć i rozwijać się mogła bez obawy przed złemi instynktami.

Okazało się tymczasem, że teorye filozoficzne nie zdołają zastąpić religii, ugruntowanej na wierze w Boga. Wymyślono wprawdzie nowe pojęcie altruizmu, aby nim uzasadnić uczucia, któreby pozwalały ludziom żyć bez obawy obok siebie i wspierać się wzajemnie; ale altruizmu tego nikt w rzeczywistoście nie rozumie i nie praktykuje w życiu. Pośród ludzkości nieokiełznanej żadnem prawem wyższem w jej brutalnych instynktach rozkrzewił się wrodzony egoizm i stał się jedyną miarą postępowania. Ztąd gorączkowa gonitwa za korzyścią własną bez względu na krzywdę drugich, bezwzględna i nielitościwa walka o byt, rodząca nienawiść stanową i rasową, niepewność i nieufność. Z drugiej strony nie umiała filozofia usunąć strachu przed śmiercią, ani jej wytłomaczyć, ani też dać człowiekowi pewności, że z życiem jego na ziemi kończy się jego istnienie na zawsze. I tu miejsce spokoju, zajęła niepewność i płynące z niej zaniepokojenie. Jedni pragną utopić je w rozkoszy i zmysłowej rozpuście, inni, nie widząc celu i drogi przed sobą, błądzą w ciemnościach i z febryczną gorączkowością szukają czegoś, coby ich zaspokoiło, inni zniechęceni bezcelowością życia lub przesyceni rozkoszą, popadają w głuchą obojętność lub wściekłą nienawiść do wszystkiego, co ich otacza a zaspokoić nie zdoła, stają się dekadentami, mistykami lub — anarchistami.

Jest w tej kombinacyi wiele prawdy. Rzeczywiście choruje społeczeństwo nowoczesne na brak ideałów, na brak uznanych przez wszystkich zasad, na wygórowany egoizm, a szarpane niepokojem i żądzą szczęścia, wyniszczone rozpustą umysłową i fizyczną, popada w rozdźwięk z samem sobą i wydaje anomalia w rodzaju francuskich dekadentów i anarchistów. Myli się jednakże Jeske-Choiński, szukając przyczyn pierwotnych tego rozstroju w rozumie i filozofii. I w wiekach średnich rozum posiadał swoje prawa, tworzył systemata filozoficzne — a przecież nie odbierał ludziom wiary, nie kazał im odrzucać istoty Boga, lecz co najwyżej naukę kościoła, a zastąpić ją własną teoryą religijną. Dla czegoby dziś koniecznie prowadzić miał do ateizmu? A zresztą rozejrzyjmy się w społeczeństwie nowożytnem. Ogromną jego większość stanowi lud prosty, stosunkowo ciemny. Nie bawi on się bynajmniej w filozofią, nie zastanawia się nad prawdami religii, a jednak po wsiach i miastach ten sam panuje niepokój i to samo niezadowolenie, co pośród inteligencyi. Tylko że ono nie objawia się w dekadentyzmie lub w anarchiźmie, lecz w gorączkowej gonitwie za większym zyskiem, prowadzącej do emigracyi po za morze lub w głąb Niemiec, w doktrynach komunistycznych i obojętności w sprawach religijnych.

Te dwa fakta są bardzo znamienne i należało uwzględnić je w „Rozkładzie.“ Gdyby Jeske-Choiński był to uczynił, teorya jego wypadłaby wcale inaczej. Leży w naturze ludzkiej popęd wrodzony do badania rzeczy niezrozumiałych, dociekania prawdy. Ale u ludzi wierzących wszystkich wyznań i czasów popęd ten ograniczony jest dogmatami wiary, które na zagadnienia najważniejsze dają wyczerpującą odpowiedź. Nasamprzód zwątpić trzeba w prawdy przekazane tradycyą i religią, utracić podstawę moralną, błąkać się po manowcach życia, a potem dopiero można dać wodze wrodzonemu popędowi, szukać prawdy na własną rękę, przystąpić do stworzenia własnej teoryi etycznej.

(Dokończenie nastąpi).

# Jerzy Brandes o Polsce.

III.

Znakomity krytyk duński zajmuje wobec nas stanowisko wogóle bardzo przychylne. W dziele swoim „Indryk fra Ryssland“ (Wrażenie z Rosyi), które wydał po napisaniu „Wrażeń z Polski“ powraca kilkakrotnie do tego, co napisał o nas, a porównując charakter i uzdolnienie Polaków i Rosyan, oddaje nam zawsze pierwszeństwo. Mimo to nie jest Brandes ślepym na nasze wady i ułomności.

Na str. 41 czytamy:

„W dawniejszych opisach Polski i Polaków spotykamy się często z pochwałami polskiej rycerskości i osobistej odwagi, na które liczyć można zawsze. Jest atoli coś podejrzanego w ich dumie, coś powierzchownego w szlachetności, są też samolubni, niezgodni, nie potrafią uznać wyższości w niczem, co poglądom ich się sprzeciwia, ani skierować woli dłużej na jeden punkt. Przyznawają się do tego sami, że są lichymi gospodarzami, że łatwo wpadają w kłopoty pieniężne, przerzucają karty tysiąca książek, ale przestudyują mało. Obwiniano ich o to, że w tejże chwili, w której zapalają się do ideałów wolności, są wobec swych chłopów tyranami, oraz, że uchodząc za najpoważniejszych ludzi, mają kilka pobocznych miłostek obok „uwielbianej“ żony. Jednem słowem

---

rządy. Teraz panujemy tu obie i dla tego są ciągłe przykrości.

Borajski potarł dłonią czuprynę.

— A może ty dziecko i dobrze mówisz. Wierzaj: mnie tak przykro, ale cóż na to poradzę? Już to takie prawo na świecie, że pasierbica z macochą nigdy nie są w zgodzie. Ja myślałem dawniej, że przecież tak nie będzie, uważałem nawet za konieczne dać ci kogoś, co cię wychowa i w świat wprowadzi. Stało się inaczej. Ha, więc wybieraj, moje dziecko. Kilku statecznych ludzi prosiło mię o twoją rękę: Szołomiejski dla syna, Raniecki także, jest zresztą obok nas bardzo godny człowiek... Nie chcę ci żadnej myśli podsuwać, boś ty przecie rozsądna dziewczyna.

— Zatem pozwalasz mi ojcze wybierać?

— Czyń jak chcesz, uważaj tylko, żeby ci dobrze było na świecie i żebyś była zawsze szczęśliwa.

— Dobrze, mój kochany ojczulku. W tych dniach, może nawet dziś jeszcze, dam ci odpowiedź.

— Rozmyśl się jednak tylko dobrze, gdyż to twoja przyszłość — pocałował ją znowu w czoło. — A teraz bądź zdrowa, bo mi pilno. Gdzie ten kwit?

— Tam na stole.

Niedługo potem przybiegła Anulka ze szkoły. Wpadła jak kula, rozebrała się prędko, poukładała książki na stoliku i wyjąwszy z teczki kajet, pokazała go z tryumfem Loli.

— Patrzaj, znowu mam z rachunkowego zadania celująco!

Lola ruszyła obojętnie głową. Gdzie jej tam teraz rachunkowe zadania były w głowie. Tak to już dawno od tego czasu, gdy chodziła do szkoły wydziałowej, gdy bała się złego postępu, a dobrym cieszyła! Dziś, gdyby wszyscy nauczyciele i nauczycielki z katechetą na czele dali jej najgorszą klasę z przedmiotu i obyczajów, onaby i przez dziesięć minut o tem nie myślała. Między tamtemi latami a obecną chwilą, leżała ogromna przestrzeń pojęć, myśli i pragnień.

— Co mnie tam zadanie rachunkowe obchodzi — odrzekła z odcieniem smutku.

— Aha, już ja wiem, co cię obchodzi. Widziałam go, widziałam na rynku.

Oczy Loli ożywiły się.

— Znowu była wojna z macochą — rzekła. — Nawet ojciec wmięszał się w to i rozmawialiśmy z tego powodu długo z sobą. Ty wiesz, że dzisiaj jest próba.

— Czemuż nie miałabym wiedzieć?

— Otóż moja Anulko, ja mam do ciebie jedną prośbę. Ty musisz mi pomódz.

— Porządek zrobić?... albo może poukładać w szafie? Bardzo dobrze. Powiedz tylko, co?

— Nie o porządki tu chodzi.

— A o cóż?

— Ja musze dziś pomówić z Dynieckim na osobności.

Anulka popatrzyła na Lolę zdziwionemi oczyma.

— A jakże ja ci w tem pomogę?

— W tej chwili jeszcze nie wiem, ale do wieczora namyślę się i znajdę sposób. Zdaje mi się, gdy matka wyjdzie do kuchni przed kolacyą ubierać półmiski, wówczas będzie najlepsza pora. Ty musisz wyprowadzić Łasieckiego, Józefa i brata swego do drugiego pokoju, a jeszcze lepiej do pokoiku pana Franciszka i tam zatrzymasz ich jak najdłużej. Ja z nim tylko kilka słów sam na sam pomówię, nic więcej.

— Ej Lolu, bój się Boga, już ja widzę, że ty zrobisz coś niedobrego — przedstawiała Anulka łagodnie, patrząc Loli serdecznie w oczy. Lecz ta odparła żywo:

— Nie mów nic, mojaś ty, nie odradzaj mi nic... bo wiesz, że to daremnie. Tak będzie, bo tak być musi.

Anulka robiła chętnie wszystko, czego od niej Lola kiedykolwiek wymagała. Uległa i tym razem.

Przy stole, podczas obiadu, panowała grobowa cisza. Po obiedzie czytały dziewczęta swoje role głośno, przechadzając się po pokoju i bębniły je jak szkólne wiersze na pamięć.

W ten sposób doczekała się Lola wieczoru i przybycia Dynieckiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

znajdowano w nich wspólne cechy ludzi posiadających przymioty świata zachodniego i... Wschodu.

Zdaje mi się, że w tych zapatrywaniach jest wiele słuszności. Interesującem byłoby stwierdzić, o ile na to ukształtowanie się pojęć etycznych wpłynął nacisk obczyzny.“

Co do zamiłowania w przepychu, to zdaniem Brandesa, słabość ta nie ma dziś już takiego znaczenia jak dawniej. Atoli jest oną duchowi polskiemu wrodzoną. Gonitwa za zaszczytami ustępuje dziś miejsca głębszemu poczuciu honoru i uczciwości.

Byłem poraz pierwszy na balu w Warszawie — opowiada Brandes — w sali ratuszowej. Przeszło 500 par tańczących, pomiędzy niemi kwiat warszawskiego towarzystwa, dały mi sposobność przekonać się, jak dziś już mało cenią Polacy zewnętrzne dekoracye. (?) Z wyjątkiem trzech oficerów rosyjskich nie znalazłem ani jednej osoby w sali, któraby miała order lub jakąkolwiek oznakę honorową. Z dekoracyi nie robi sobie nic żaden z Polaków (?), tak samo z uniformów.

Opowiadają w Warszawie, iż pewien biedny nauczyciel został zaszczycony orderem św. Stanisława, którego nigdy nie nosił, a co ciekawsze — którym dziecko swe straszył, ilekroć razy było niegrzeczne. Gdy najmłodszy jego chłopak krzyczał, wówczas ojciec mu groził: „Będziesz krzyczał znowu, to ci przy obiedzie zawieszę order św. Stanisława.“ To pomagało! D e t h j a l p! powiada Brandes. (Nr. 43.)

Co mówią o usposobieniu arystokratycznem u Polaków, to fakt, iż ono istnieje, atoli w pewnej modyfikacyi. Polakowi nie jest wrodzonem zamiłowanie do cnót mieszczańskich; jego ideałem jest i pozostanie g r a n d s e i g n e u r. Wzgląd na to, że trzeba liczyć i odkładać, ażeby rządzić, opanowywać i być samodzielnym, u nich nie istnieje. Wszędzie, gdzie Niemcy i Polacy na polu handlu lub przemysłu występują ze sobą do walki, Polacy ulegają. Wielcy fabrykanci w Polsce rosyjskiej, którzy handlem bogacą się na ludności polskiej, są Niemcami. W bieżącem stuleciu założono miasto fabryczne Łódź, które wzrosło tak szybko, iż przykład podobny znaleźć można chyba tylko w Ameryce. Miasto to leży pośród rdzennej ludności polskiej, a jednakowoż jest rdzennie miastem niemieckiem!

Polacy pozostali dotąd narodem arystokratycznym; mieszczaństwo, które później wcisło się pomiędzy szlachtę i chłopa, jest dotychczas liczebnie bardzo słabem i długo jeszcze będzie dla Polaków spokojne życie mieszczanina wydawało się życiem niegodnem Polaka, życiem pędzonem pomiędzy jedzeniem i piciem, lub też jak Hrabia mówi w Krasińskiego „Nieboskiej Komedyi“: życiem, które jest snem Niemca mieszczanina przy kobiecie Niemkini.

Mimo to nie trzeba nam zapominać, że szlachta polska jest w gruncie rzeczy czemś zupełnie odmiennem, aniżeli szlachta u innych narodów europejskich. Szlachta polska nie stała się jeszcze zupełnie kastą. Jan Sobieski przywiódł na odsiecz Wiednia same polskie rycerstwo. Jeszcze w tem stuleciu uszlachcono całe pułki piechoty; tym sposobem żyje obecnie w Polsce przeszło 120 tysięcy rodzin szlacheckich. Szlachta w Polsce zbliża się więcej do tego, czem jest w reszcie Europy mieszczaństwo. Ztąd też pochodzi, że szlachta polska nie miała tytułów hrabiów, baronów, markizów itd.

W Warszawie tytułują hrabinę m a d a m e, nie c o m t e s s e. Nawet przy prezentowaniu nigdy Brandes nie zauważył, aby wymieniono tytuł „co przyjemnie działa na każdego, kto przybywa z Niemiec“ (str. 45).

Brandesowi, przebywającemu poraz pierwszy w Polsce, wydawać się musiało wiele z natury rzeczy dziwnem. Ztąd to pochodzi, iż w faktach drobnych bez znaczenia upatruje częstokroć cechy odrębne i zwyczaje patryarchalne; niejeden tam fałsz i niejedna nieścisłość, ale bądź co bądź książka to interesująca, pełna bystrych poglądów i obserwacyi.

*D. Królikowski.*

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### KRONIKA BERLIŃSKA.

**Berlin**, 19 stycznia.

(Hauptmannowska premiera. — Hammerstein i Friedmann. — Bosse i Hinschius.)

Berlin w przeszłym tygodniu po raz nie wiem który wystawił sobie pyszne świadectwo duchowego ubóstwa. Dowiódł w sposób niezbity, iż on, który potrafi ocenić należycie produkcye cyrkówek, baletnic i szansonetek, nie jest w stanie odczuć prawdziwego piękna wielkich talentów. Potrafi on wznieść się do wysokości francuskich łamigłówek problematów miłosnych i bulwarowych, lecz nigdy nie wzbije się na wyżyny, gdzie bujają wzniosłe myśli wielkich duchów literatury. Potężny, historyczny dramat Hauptmanna, największego ze współczesnych niemieckich pisarzy, został w przeszłym tygodniu oddany pod ocenę berlińskiej publiczności i jak należało się spodziewać doznał fiaska. Publiczność berlińskich premier składa się ze śmietanki finansowej, klaki i wreszcie z jenerałów, szeregowców i ciurów armii krytyków. Przybywający ludzie, chcący połechtać podniebienie literackie pikantnemi sensacyami, przybywają po pokarm, którego spożycie i przetrawienie nie wymaga wielkich wysiłków... „Floryan Gayer“ — gdyż o tym dramacie mówimy obecnie — nie był sensacyą, a w dodatku nie potrącał o kwestye dnia. Tylko przez analogię można było przesuwające się przed widzem obrazy przełożyć na język wypadków dzisiejszej doby. Tylko zagłębiając się w treść, można było się domyśleć, iż roztaczająca się przed nami panorama zawiera w sobie pełnię prawd bardzo aktualnych. Ruch chłopski z pierwszej połowy 16 stulecia jest ogniwem odosobnionym w łańcuchu historycznych wypadków i wybuchają tam instynkty i namiętności, które żyją w napięciu i w naszem sercu, sercu ludzi epoki przejściowej. Hauptmann w formie mistrzowskiej ukazuje nam grę potęg psychicznych w chwili krytycznej, w chwili, gdy świadomość mas, ocknąwszy się z wiekowej letargii dogmatyzmu, poddaje nieubłaganej krytyce ustrój przykuwający je łańcuchem ciemnoty do taczki pracy i nędzy i żąda reformy. Nie myślimy tu rozwodzić się nad wartością literacką dramatu, pozostawiając krytykę innym. Niezrównane zalety tego utworu i sposób, w jaki przyjęła go berlińska publiczność, rzuca jaskrawsze niż w innych wypadkach światło na gust i poziom umysłowy auditoryum premierowego w Berlinie. Dodajmy jeszcze, że dramat ten zapisał się w kronice teatralnego życia stolicy niepamiętnym tu skandalem. W chwili, gdy w ostatnim akcie feodałowie upojeni zwycięstwem i winem rzucają się w rozbestwieniu na jeńców chłopskich i okładają ich śpicrutami, garstka warchołów, występując w imieniu niby to obrażonego piękna napełniła teatr takiem sykaniem i hałasem, że przedstawienie musiało uledz dziesięciominutowej przerwie. Przypuszczam atoli, że losy sceniczne „Floryana Geyera“ nie są ostatecznie zdecydowane. Służalcza krytyka, zrażona na razie wyrokiem premierowych warchołów, chwaliła utwór tylko półgębkiem. Usposobienie publiczności zmienia się jednak stopniowo, a wraz z tem i chorągiewka sędziów gazeciarskich powoli odwraca się w przeciwną stronę. Dotychczasowa decyzya brzmi tak: „Utwór jest niepospolitym i jako dramat historyczny nie ma sobie równego w nowoczesnej niemieckiej literaturze. Hauptmann nie uwzględnił jednak warunków scenicznych i musiał paść ofiarą swego za daleko posuniętego naturalizmu. Scena już tyle ustępstw zrobiła Hauptmannowi, iż ma prawa i od niego wymagać by dogodził niektórym jej żądaniom.“ Niestety, dopiero po pierwszym przedstawieniu spostrzegł Hauptmann niebawem, iż w utworach scenicznych autor nie jest nieograniczonym panem swego talentu, że w większym lub mniejszym stopniu musi brać pod uwagę warunki oddziaływania utworu na scenie. Ugiął się autor i wyrzucił sporo scen (cały prolog n. p.) z „Floryana Geyera“. Uczynił to prawdopodobnie z bólem serca, bo wśród wykreślonych ustępów są sceny bardzo piękne i głęboko psychologicznie umotywowane. Ile kosztowały pracy i studyów to zrozumie z łatwością każdy, kto zastanowi się nad historyczną wartością utworu, który, w szeregu wypadków zachodzących na widowni historycznej 1525 r. odzwierciedla ruch chłopski, jego przyczyny, sprężyny działania masy bohaterow, ducha czasu ówczesnej epoki a wraz z tem bóle i radości, nadzieje i zawody różnych grup tego okresu. Obok drobiazgowo wyrzeźbionych postaci mamy przed sobą jeden wielki obraz, świadczący o szerokim rozmachu pędzla Hauptmanna.

Przez asocyacyę kontrastów przejdźmy od poważnego dramatu z czasów ubiegłych do komedyi chwili bieżącej. Nie mógłbym bardziej stosownego nazwiska wyszukać dla szeregu wypadków, związanych z osobą Hammersteina i Friedmanna. Są tu zabawne *qui pro quo*, niespodzianki, i co jest przedewszystkiem niezbędnem we współczesnej komedyi, kobiety z półświatka. Na komedyę tę złożyły się po części fakty rzeczywiste, po części zaś produkty wyobraźni reporterów. Konia z rzędem temu, kto potrafi tu oddzielić ziarno prawdy od plewy plotki. Baron v. Hammerstein, wódz pomorskich junkrów, zaciekły wróg wszystkiego, co tchnęło postępem, potężny redaktor „Gazety Krzyżowej,“ sfałszował, jak Czytelnikom wiadomo, weksle, zeskamotował nieco pieniędzy w kasie redakcyi i czmychnął w świat daleko. Tak niedawno jeszcze Hammerstein reprezentował partyę konserwatywną, żyjącą wpływami u dworu (jak wyraził się Lassale, — łaska arystokracyi u dworu „das ist auch ein Stück Verfassung“), tak niedawno jeszcze łżył i urągał z wysokości trójnoga „ładu i porządku“ i rzucał w imieniu junkrów rękawicę nawet rządowi, a dziś po kilkomiesięcznej tułaczce po lupanarach i złodziejskich kryjówkach obcych krajów ten sam baron v. Hammerstein jest w drodze do Alt-Moabitu w Berlinie. *Sic transit gloria mundi!* Zresztą co do Odyssei Hammersteina i powrotu na łono Altmoabitowskiej Itaki nic pewnego nie można powiedzieć. O osobie jego krążą najdziwaczniejsze legendy. Mówiono nawet, iż w wilią Bożego Narodzenia płakał w kaplicy ambasady niemieckiej tak głośno, iż domyślono się odrazu, że tak żałować swych grzechów może tylko Hammerstein. W mętnej wodzie legend, domysłów i podejrzeń łowi tymczasem ryby pani Flora Gass, żydówka, która wdziękami swego ciała okupywała w oczach barona grzechy plemienia

znienawidzonego przez chrześcijańskiego szermierza „ładu i porządku“. Wyłudza ona pieniądze od różnych hrabiów i baronów, grożąc im zdemaskowaniem, jako przyjaciołom Junkra-oszusta i złodzieja. Ciekawa rzecz, że zupełnie zapomniano o wielkich zasługach barona w niedalekiej przeszłości, o czem świadczy bogato wyszyta poduszka, którą ofiarowały mu bogobojne członkinie jakiegoś towarzystwa krzewienia cnoty na ziemi germańskiej. Baron v. Hammerstein od kilku tygodni posiada rywala w osobie najgłośniejszego tutejszego adwokata, Fritza Friedmanna. Zdołał on z uszczerbkiem dla rozwoju mitologii Hammersteinowskiej przykuć do siebie przez niejaki czas uwagę czytającej gawiedzi. Miodopłynny mecenas, postrach prokuratorów i podpora niewinnie oskarżonych opuścił Berlin w towarzystwie swej 17-letniej kochanki, zabranej jednemu z klientów„ tytułem honoraryum. Podobno zamieszkał gdzieś u byłego kelnera z Cafe Bauer, żona zaś miała wstąpić do jakiegoś ogródkowego teatru jako śpiewaczka. Ten sam mąż przed kilkoma tygodniami jeszcze był ulubieńcem tutejszych bogatych sfer, które bawił podczas libacyi dowcipami, a w nieobecności swojej karmił duchowo pieprznemi romansami, drukowanemi w „Kleines Journal“.

Minister oświaty dr. Bosse zwracał się już kilkakrotnie do fakultetów tutejszego uniwersytetu z propozycyą udzielenia nagany docentom za ich zachowanie się w życiu prywatnem lub publicznem. Uniwersytet odmawiał swej aprobaty, motywując swą odprawę ograniczonością swej kompetencyi. Minister poprosił profesora kościelnego prawa Hinschiusa, by zechciał wypowiedzieć swą opinię w tej sprawie. Zagadnięty profesor odpowiedział w duchu zgodnym z biurokratycznemi poglądami dr. Bossego. Na to pięćdziesięciu kilku profesorów berlińskiej wszechnicy nadesłało ministrowi protest, zawierający naukowe obalenie memoryału dra Hinschiusa. *M.*

# Z estrady i sceny.

## „Towarzysz pancerny.“

Sztuka w 3 aktach p. Michała Wołowskiego, odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie galicyjskiego wydziału krajowego.

Wieść, że p. Michał Wołowski otrzymał pierwszą nagrodę na lwowskim konkursie, wywołała w poważnych sferach literackich ogólne zdziwienie. Autor *„Chamskiej duszy“* i *„Naszych aniołów“* nie zdradził nigdzie wybitniejszego talentu, a sztuki jego wykazywały braki dotkliwe, mianowicie pod względem inwencyi, nerwu dramatycznego i akcyi. Rozpoczęło się tedy kręcenie głowami, — jedni uśmiechali się złośliwie, inni przypominali dzieje pewnego konkursu, gdzie sędziowie ze łzami w oczach winszowali sobie nawzajem odkrycia „nowego geniuszu“ a geniusz okazał się zaledwie miernym talentem. Co do mnie, — luoo mi czasem na myśl przychodził Gustaw Zieliński, który obok „Stepów“ mógł stworzyć „Kirgiza“, — należałem od pierwszej chwili do rzędu wątpicieli. Czwartkowa premiera dowiodła, że słuszne były — w znacznej przynajmniej części — przeczucia moje i obawy.

Pan Wołowski tak opowiada: Imci Pan Jan Chryzostom Pasek, rycerz wielkiego męztwa i wielkiej brawury, lecz wdzięków niewieścich sługa uniżony, korzysta z krótkich godzin wojennego wywczasu, aby znaleźć sercu swojemu miłą białogłowę i wstąpić z nią w śluby małżeńskie. Zajeżdża więc z młodziutkim siostrzeńcem swoim do bogatej wdowy, pani Anny Łąckiej, wyposażonej, mimo czterdziestki z okładem, wielkim afektem ku płci mezkiej i trzema dorodnemi córami. Imci Pan Jan Chryzostom Pasek rozpoczyna z miejsca szturm do najmłodszej dzieweczki, lecz w krytycznej chwili spotyka go nietylko konfuzya ze strony bogdanki, lecz *respublica* kres kładzie amorom, wołając na boje żołnierza. Walczył jak lew, pogromił wroga i wraca, aby do drugiej z rzędu córki smalić cholewki. Znowu konfuzya i znowu rzeczpospolita wzywa sługę swojego. W trzecim akcie wstępuje bohater po raz trzeci w progi pani Łąckiej i trzecią rekuzę z rąk trzeciej odbiera córki. Nie traci jednak fantazyi rycerz znamienity, a do małżeństwa skory, i zwróciwszy afekt swój do matki wdowy, na ślubnym z nią klęka kobiercu.

Już krótkie streszczenie fabuły utworu ukazuje kardynalny błąd sztuki premiowanej. Trzyaktowa komedya jest rozwodnioną jednoaktówką, — motywy pierwszego aktu powtarzają się z małemi odmianami w następnych odsłonach, fantazya, wysilona na wstępie, pustkami świeci przy końcu. I dla tego „Towarzysz pancerny“ budzi wielkie nadzieje i wielki entuzyazm, gdy kurtyna po raz pierwszy zapada, lecz już w drugim akcie zawodzi, a w trzecim ziębi i nuży. Znam istotnie mało utworów, któreby brakiem pomysłów rozwojowych po uniesieniu chwilowem tak rozczarowały publiczność. Zrazu temperatura się podnosi. Spoglądamy w dom staropolski o barwach harmonijnych i ciepłych, polskie dziewczęta wśród polskich żołnierzy, surowa gospocha — *hic mulier*, humorystyczna panna respektowa, prześliczny, pełny, staroświecki język i ten Pasek buńczuczny, szeroki, wymowny, żywcem z 17 wieku wykradziony rycerz. A potem ta potężna chwila, gdy rzeczpospolita woła do apelu. Za sceną rozbrzmiewa pieśń „Bogarodzica“, — zrywa się Towarzysz pancerny, — to ona, matka najświętsza, pierwsza kochanka, ojczyzna polska nęci synów swoich, — a któż nie usłucha jej głosu?! Prześliczny obrazek! Pędzel szeroki, kolory ciepłe, kontury ostre i drgające życie! Kurtyna znów się podnosi temperatura gorąca, ciekawość naprężona. Spoglądamy z natężoną uwagą i nowych wrażeń szukamy. Napróżno! Chwilami wydaje się, że autor, przeczuwając tryumf pierwszych momentów sztuki, jakieś „bis“ niesmaczne ulepił. Repetycya znanych motywów zaczyna nudzić, i sytuacyi nie ratuje nawet piękna, choć sztucznie przyklejona, scena pojedynku, przerywanego wspomnieniami bohaterskich bojów Czarneckiego. Trzeci akt już na dobre niecierpliwi. Oświadczyny i oświadczyny bez końca, te same sceny, te same zwroty, te same konfuzye, ta sama, tylko rozwodniona, akcya.

Budowa „Towarzysza pancernego“ odskakuje od prawideł dramatycznej twórczości. Słabo zadzierzgnięty węzeł intrygi rozluźnia się bezustannie i autor skręcać go musi od nowa z jednego aktu na drugi; wypadki nie piętrzą się i nie opadają symetrycznie, lecz stoją na linji poziomej, wdzięczne w kolorze, błędne w kompozycyi. To też utwór p. Wołowskiego nie posiada charakteru rzeczywistej komedyi lub dramatu, lecz jest raczej szeregiem obrazków rodzimych, rzuconych na dalekie tło historyczne 17-go wieku. Należy on pod względem rodzajowym do niższej kategoryi sztuki, a dla ubóstwa fantazyi i pomysłów, mimo kilku scen porywających, mimo stylowego języka i ciepłego kolorytu, nie zajmuje królującego stanowiska w nizinach obrazkowej twórczości.

Znałem pewnego malarza, który zdobył niegdyś medal złoty za obraz przedstawiający jelenie na torfowisku. Niebo na płótnie było z ołowiu, powietrze wilgotne i mgliste, zdawało się, że za chwilę deszcz zacznie padać. Utwór był piękny, artysta szczęśliwy ze zdobytych laurów. Chwila ta jednak stała się krytyczną. Malarz zakochał się w motywie premiowanego dzieła i przerabia go odtąd bez końca. Każdy obraz wychodzący z jego pracowni ma zawsze niebo z ołowiu, wilgoć i moczary. Zamiast jeleni figurują czasem ludzie, czasem dziki, sarny lub sama przyroda, ale zawsze te same chmury i mgły, te same torfy, to samo uczucie zbliżającego się deszczu. Coś podobnego stało się z p. Wołowskim. Umiłował pomysły aktu pierwszego — bezsprzecznie piękne i silne, — zakochał się sam w sobie i sam siebie skopjował.

A gdy ze stanowiska charakterystyki i psychologii spoglądam na utwór konkursowy, to i tu tylko względne uznanie zapisać mogę. Pan Wołowski zrozumiał zasadniczą barwę epoki, roztoczył atmosferę staroświecczyzny na scenie i dokonał owej suggestyi uczuć, która zmusza publiczność do wyjścia z siebie i zespolenia się z środowiskiem scenicznem. Ten — że tak powiem — mimetyzm moralny jest obfitem źródłem artystycznych wrażeń i on to stanowi prawdziwą zaletę „Towarzysza pancernego.“ A przecież połowiczną jest tylko w konkursowej sztuce potęga wpływów estetycznych, bo, obok barw zasadniczych, widz szuka napróżno kolorów lokalnych. Postacie p. Wołowskiego mówią do nas głosem epoki, lecz głos indywidualności odzywa się cichym szeptem zaledwie. Widzimy typy, nie widzimy ludzi. Może Pasek, pani Łącka i rezydentka stara, może wreszcie młodziutki siostrzeniec bohatera sztuki gdzieniegdzie zdradzają ton indywidualny, ale to barwy blade i życie anemiczne. Reszta rozpływa się w jakimś jednym dźwięku typowym, — to epoka, nie ludzie.

Jeżeli zaś mimo tych wad oklaski po każdym rozbrzmiewały akcie, to był to liczman zwyczajowy, którym tak chętnie rzuca publiczność nasza, — przedewszystkiem jednak hołd oddany grze p. Knapczyńskiego, beneficyanta i przedstawiciela roli tytułowej. Gra tego artysty budziła przed podniesieniem kurtyny wątpliwości pewne, bo talent jego zdradza jednostronność wyraźną i nosi stempel krotochwili nowoczesnej. Czy wyjdzie z siebie, czy dokona niebezpiecznej metamorfozy, czy w stroju rycerza 17-go wieku nie wstąpi lekki amant na scenę? Tak pytano na wstępie, lecz gra artysty już w pierwszym akcie rozbroiła sceptyków. Pasek p. Knapczyńskiego posiadał rozmach szeroki, brawurę rycerską i staroświeckie lansady, — czuć tam było wojnę i biwaki, nie salonowe posadzki, — i była tam wysilona galanterya odpowiadająca charakterowi epoki i charakterowi żołnierza. Ton krotochwili rzadko tylko i słabo odzywał się w grze p. Knapczyńskiego, któremu utwór benefisowy zgotował nietylko sukces finansowy, lecz prawdziwy tryumf artystyczny.

Reszta artystów z małemi wyjątkami nie dorosła zadaniu, a wymieniam tu tylko p. *Grabowieckiego i Wostrowskiego*, z których pierwszy, zamiast rycerza, stworzył Byronowskiego kochanka, drugi, zamiast junaka z 17 wieku, pruskiego „Lieutenanta“ najnowszej daty.

*W. R.*

## Koncert Aleksandra Piecznikowa.

(20-go stycznia r. b.)

Wątpię, czy wykonawcza sztuka muzyczna posiada chwilowo wybitniejszego przedstawiciela gry skrzypcowej, niż ten młody Rosyanin, który w ubiegły poniedziałek koncertował na sali Lamberta. Wsłuchiwałem się często i uważnie w grę najwybitniejszych wirtuozów i nieraz zachwycony i ocza-

rowany grą ich przedziwnie piękną doznawałem wrażenia prawdziwie artystycznego, a jednak nie przypominam sobie, czym kiedykolwiek tak silnego i trwałego doznał uczucia, jak słuchając gry koncertanta. Zdaje się, że artysta swą tkliwą słowiańską duszę przelał w instrument i cały smutek, boleść i pragnienia tego ludu, z którego sam pochodzi, wyśpiewał, — raczej wyjęczał natchniony. Jestto artysta, któremu skrzypce „to przeklęte narzędzie“ — jak Syrokomla mówi — „przyrosło do duszy“, a który cząstkę tej duszy w każdej nucie oddaje. Tak jak Paderewskiego nazywają „duszą fortepianu“ tak samo Piecznikowa „duszą skrzypiec“ mianować muszę. Podobnie jak Paderewski nie odznacza się i Piecznikow silną budową. Słabowity i wątły posiada mimo to nadzwyczajną siłę muszkuł, i ztąd sprężystość i wytrwałość zadziwiającą, która mu pozwala bez zmęczenia pokonać idealnie największe trudności.

Dwie posiadamy drogi, któremi reprezentanci sztuki wykonawczej kroczą. Jedni zdobywają sobie słuchacza od razu wykończeniem techniki i wyjątkowe swe uzdolnienie z tej strony prezentują, stawiając własną osobę na pierwszem miejscu. Na programy ich składają się technicznie trudne utwory, nie posiadające jednakże głębszego znaczenia. Inni idą dalej i wyjątkową swą, uzdolnieniem i pracą zdobytą wprawę nie uważają za cel, ale za środek; tacy oddają się w służbę prawdziwej sztuki, wykonując w swych koncertach jedynie najcelniejsze utwory — tak klasycznej jak i romantycznej literatury muzycznej. Tych stawiam wyżej. Bo jakkolwiek jest zasadą w sztuce stawiać na pierwszem miejscu nie temat, ale raczej wykonanie, to jednak oddam pierwszeństwo artyście, który podniosły temat lub utwór wykona w równie wykończonej formie.

Takim też artystą w służbie prawdziwej sztuki jest: Piecznikow. Kto „C i a c c o n ą“ Bacha zdoła do tego stopnia uwięzić uwagę z różnych elementów złożonego audytoryum, jak ten Rosyanin w ostatnim koncercie, — kto zmuszony burzą oklasków jako dodatek wyśpiewa „A r i ę“ Bacha i poruszy do głębi tych samych słuchaczy, ten jest prawdziwym i powołanym kapłanem sztuki.

Nie pamiętam, czym kiedykolwiek w większem rozgorączkowaniu oczekiwał rozpoczęcia koncertu, jak występu Piecznikowa, — przeczuwałem, że tu coś nadzwyczajnego mnie oczekuje.

I nie zawiodłem się.

Popis rozpoczął się Wieniawskiego ślicznym koncertem (d-moll). W kompozycyi tej przeważa nastrój smętny, dopiero w Finale, pisanem w stylu cygańskim, odzywają się dzikie i dziarskie motywa. Widocznie przypada utwór ten do duszy młodemu skrzypkowi, bo wykonanie nacechowane poetycznym polotem i szczerem przejęciem budziło w słuchaczu wspomnienia i wywoływało w wyobraźni sceny, zgodne z przewodnią myślą kompozycyi. Szkoda wielka, że artysta był zmuszony odegrać utwór przy akompaniamencie fortepianu a nie orkiestry. Utwór pozbawiony charakterystycznego brzmienia i kolorytu orkiestrowego, traci dużo na swej piękności.

Później wykonał artysta „Ciaccone“ Bacha. Polifoniczne łamańce, wymagające nadzwyczajnego manewrowania smyczkiem, nie przedstawiały dla wykonowcy żadnych trudności. Melodya, czy położona w basie czy sopranie, czy występująca w pełnych akordach, czy ukryta w barwnej kaskadzie arpedżii, występowała wszędzie jasno i pochwytnie dla ucha przeciętnego nawet słuchacza. Potężny ton, jaki artysta z cennego swego instrumentu wydobywa, brzmiał w pełnych akordach jak organ i nawet w najwyższych pozycyach nie stracił nic na czystości i sile. Wreszcie indywidualizowanie każdej waryacyi było nadzwyczaj interesujące i oryginalne; każda miała jeśli się tak wyrażę, odmienną fizyonomię.

Zamiast podanej w programie „S é r é n a d e m e l a n c o l i q u e“ zagrał artysta „C a n z o n e t ę“ z koncertu na skrzypce, również utwór Czajkowskiego, a dalej pełną gracyi i galanteryi „H a v a n a i s e“ Saint-Saens'a. Na ogólne życzenie, zmuszony nieustającemi oklaskami, dodał skrzypek „Aryę“ Bacha, wyjątek z S u i t y D-dur w opracowaniu Wilhelmiego. Cicho i rzewnie płynęła skarga w „Canconecie“, z pod smyczka wyrywały się przytłumione westchnienia, przerwane łkanie drgało w powietrzu ledwie dosłyszalnym tonem... Któż odgadnie jakie wspomnienia grały w duszy młodego artysty! Inaczej w „Aryi“ Bacha. Podniosły i poważny śpiew Bachowskiej nuty rozbrzmiewał męzkim i wspaniałym tonem po sali, wywołując w zdumionych słuchaczach nastrój kontemplacyjny. Muzyka starych mistrzów wogóle, a szczególnie Bacha, nie obudza w słuchaczu tych namiętności co obecna, ale raczej działa łagodząco.

Interesującą jest także obserwacya fizyonomii artysty, nieco pospolitej. W czasie gry zachowuje skrzypek wielki spokój; oko przymknięte patrzy w siebie; świat zewnętrzny zniknął dla niego, tylko w duszy przesuwają się obrazy dziwne, odzywają się pragnienia nie spełnione, gra smutek i radość, a wszystko to wraca jak fala od brzegu, tonami rozlewa się po skrzypcach, jęczy, płacze, śmieje się i tony tylko zdradzają, co się w młodej duszy dzieje, bo przed nami, jak posąg stoi zimna postać skrzypka-czarodzieja.

Wobec tek wyjątkowego zjawiska trudne miała śpiewaczka p. Klara v. Senfft zadanie, a że mimo to śpiewem swym zainteresowała inteligentnych słuchaczy, którzy ją za wykonanie pieśni hucznemi darzyli oklaskami, najlepiej to świadczy o jej umiejętności, która i u mnie budzi poszanowanie. Najcharakterystyczniej określiła artystka sama swoje stanowisko wobec genialnego skrzypka pieśnią Tauberta „Der Trabant“:

Du bist die Sonne, der Mond bin ich
Ich strahl' und leuchte, doch nur durch dich,
Durch alle Meere, durch fernes Land
Folg' ich getreulich dir als Trabant.

Śpiewaczka posiada silny mezzo-sopran o brzmieniu altowem; głos w niskich nutach brzmi męską energią, medium zaś odznacza się miękkością i giętkością. Tylko wysokie nuty brzmią trochę ostro. W czem głos nie dopisuje, to wynagradza wrodzona inteligencya i rutyna nabyta przez występy publiczne. Głos nadaje się przedewszystkiem do odtwarzania utworów poważnych, o szerokim melodyjnym zakroju. Interpretacya odśpiewanych pieśni odznaczała się zawsze szlachetnem i szczerem uczuciem i prawdziwą dystynkcyą. Z uznaniem muszę także podnieść wyraźną wymowę tekstu, zrozumiałego nawet bez programu. Charakterystyczne brzmienie głosu i inteligentne frazowanie uwydatniało tem wyraźniej liczne piękności odśpiewanych kompozycyi i świadczyło wymownie o poważnych i gruntownych studyach artystki. Śpiewaczka wykonała cały szereg pieśni starszych i nowszych kompozytorów. — Schuberta „Ganymed“, postawiony na początku występu, przeszedł bez wrażenia, dalej odśpiewała artystka pełną prostoty rzewną „Ostatnią różę“ Franza i kokieteryjne „Wyznanie“; zatem szła balada sławnego kompozytora balad Loewego „Pan Oluf“, Schumann'a „Sen poety“, podniosła pieśń Tauberta „Trabant“ i żartobliwa „Piosnka ludowa“ Reimanna. Wszystkie te pieśni, tak różne sobie nastrojem i stylem, wykonane muzykalnie, poprawnie i charakterystycznie, do czego się także akompaniament udatny na fortepianie przyczynił, zjednały śpiewaczce szczere oklaski sympatycznie usposobionych słuchaczów. Artystka odwdzięczając się za miłe przyjęcie, odśpiewała nad program bardzo udatnie Chopina „Pieśń litewską“.

Na zakończenie wyrażamy nadzieję, że genialny Piecznikow, tak sympatycznie u nas witany, wkrótce znów do nas powróci. Serdecznego przyjęcia może być pewien.

*Edwin Jahnke.*

# Na Wyłomie.

(Słówko o cywilnej odwadze. — Zmateryalizowanie społeczeństwa. — Do odwrotu!)

Gdy rozmyślam nad tem wielkiem przeobrażeniem społecznem, które wśród grzechotu strzałów dziennikarskich, przekleństw i burz rozegranych nienawiści dokonuje się zwolna na poznańskim gruncie, witam z radością przypływy cywilnej odwagi wśród bojowników nowych prądów i nowego życia. Gromowładnym kolosom ludzie dziś śmielej w oczy spoglądają i Neptunowskie „*Quos ego*“, uciszające tak niedawno jeszcze wzburzone fale, dziś brzmi sobie z huczącym wiatrem w zawody, a fale pienią się i murem idą i grożą. Rozwój ten jednak ideowego męstwa postępuje tylko miarowym krokiem i serc ludzkich nie zdobywa szturmem. Często ten i ów jeszcze zrywa się do boju, lecz przerażony starych potęg Jowiszowym gniewem, opuszcza ręce, cofa się i zgina kolana. Tam mianowicie, gdzie kwestya żołądkowa waży się wśród wrzawy ideowej, ludzie jakoś dziwnie ostrożnie stają do szeregu i na gromkie „*Qui vive?*“ odpowiadają bełkotanem słowem, a czasem cichną, czasem jak Piotr-apostół zapierają się bóstwa swojego.

Ileż to razy w poufnej gawędce mówiono mi z serdecznym akcentem: „Tylko odważnie! Niechaj się pienią i klątwy miotają! Przyszłość do was należy!“ Ileż to razy, gdy pismo, któremu służę, zdzierało maskę obłudy z hypokrytów i faryzeuszów, odsłaniało nicość tuzinkowych powag poznańskich i z latarką Diogenesa szukało ludzi wielkiego rozumu i wielkiego serca, — ileż to razy niejeden ścisnął mi rękę ukradkiem i mówił: „My z wami“. A potem przy Lukullusowej uczcie, gdy senatorów rzesza wołała: „Na stos!“, a zgraja niewolników i zjadaczy chleba tysiącznem echem powtarzała „Stos!“ — ci sami ludzie milczeli pokornie lub krzyk senatorów nieśli na rynki i ulice. Nie skarżymy sie na was, przyjaciele z cichego zakątka, — wrogowie na arenie publicznej. Wy tylko jesteście dziećmi panujących prądów epoki, a dzieło odrodzenia dokonać się może jedynie na długiej czasu przestrzeni.

Od lat trzydziestu wypisano na sztandarach naszych jeden wyraz „chleb“ i całe wychowanie strojono na nutę żołądka. Jako reakcya przeciw wybujałości uczucia dawniejszych czasów, — jako lekarstwo przeciw bezkresowym porywom, adoracyi męczeństwa i lotom Ikarowym we mgłach i błękitach, wyraz ten rozbrzmiewał wróżbą zbawienia i społeczeństwo piło z niego zdrowie i życie jak strudzony Beduin z źródła oazy pustynnej. I rzecz dziwna! Młodzież właśnie, której cała natura wzdrygała się przed dźwiękiem haseł utylitarnych, młodzież do gwiazd wyciągająca ręce, namiętna, do marzeń i porywów skora, ona na krwią sfarbowanej ziemi odpięła z ramion

swoich skrzydła orle i z dumnych ptaków królewskich zamieniła się w cichych, do ziemi przykutych robotników i apostołów pracy organicznej. Któż dzisiaj zaprzeczyć zdoła, że epoka, na nowych zbudowana podstawach, dla narodu obfite wydała owoce? Starzy romantycy drwili z „trzeźwości w prochu zakochanej“, a my z dumą przyjęliśmy krwawe urąganie, budując w tym „prochu“ nowe fundamenty ojczyzny. Lecz tam w nizinach, przy ciężkim, prozaicznym trudzie, zapomniał naród o jednem. Hasło chleba w naszych warunkach jest jak trucizna. W normalnych dawkach ono życie niesie choremu organizmowi, — w zbyt silnych dozach śmierć mu gotuje. Wybujałość praktycznego utylitaryzmu jest równie niebezpieczną jak wybujałość uczucia. Tamta grozi losami ptaka, co o kraty główkę rozbija, ta losami płaza, co po ziemi pełza, — nie stąpa. I oto my, skłonni do ekstremów, nie uniknęliśmy smutnej jednostronności, a zabór pruski, który pierwszy wywiesił sztandar pracy organicznej, wychował sobie pokolenie, budzące obok niezaprzeczonych zalet, poważne obawy.

Chleb! chleb! powtarzaliśmy dzieciom naszym, depcąc brutalnie każdy poryw idealniejszej natury. Synów naszych i córki zaprawialiśmy do walki, stawiając na ołtarzu bożyszcze karyery. Miarą żołądka mierzyliśmy życie, — pojęcie praktyczności łączyliśmy znakiem równania z pojęciem ideału, wyraz „niepraktyczny“ — stał się ekwiwalentem dziecińsiwa i głupoty. I tak wyrosło pokolenie istot, nietylko trzeźwych, lecz zarazem oschłych, — pokolenie ludzi, którzy nietylko nauczyli się pracować i liczyć z realnemi warunkami bytu, lecz zapomnieli czuć gorąco i kochać gorąco.

Czyż w takich warunkach dziwić się można, że w walce nowych prądów z staremi potęgami niejedno serce, rwące się do boju, kurczy się i stygnie, — niejeden żołnierz barwy swej głośno nie wyzna, — niejedna myśl postępowa padnie ofiarą egoistycznego rozsądku. Trudno! Nowego jutra nie zdobywa się bez ofiar i poświęceń, a hasło chleba powiększyło wprawdzie zastęp sumiennych i zabiegliwych pracowników, pomnożyło cyfrę kupców, lekarzy, inżynierów, adwokatów, w stal zamieniło nasze muszkuły i nerwy, wyostrzyło nasz rozum, pilność i wytrwałość, lecz zgasiło w nas ludzi idei, — ludzi, którzy na ołtarzu swoich wierzeń społecznych lub filozoficznych umieliby złożyć ofiarę z wygód, ambicyi i mienia.

A przecież ta praktyczna tchórzliwość, grasująca ciągle jeszcze w postępowych stronnictwach, rozzuchwala przeciwników naszych. Klątwa strach rodzi, więc przeklinają. Bojkot skutkuje, więc bojkotują. Tylko harda odwaga broń z ręki wrogom wytrąca, a ona nigdy nie będzie udziałem natur episjerskich. A zatem kult idealniejszych pierwiastków duszy ludzkiej i tępienie kramarskiego egoizmu w systemie wychowawczym jest nieodzownym warunkiem zwycięstwa nowych prądów w społeczeństwie naszem. I w walce na zewnątrz, w walce z germańskim żywiołem, jednostronne nabożeństwo chleba i karyery złe wyświadcza przysługi sprawie narodowej. W niem to tkwi źródło owej lękliwej miękkości, która jest znamienną cechą stósunków naszych z narodem Bismarcka.

Nam trzeba shardzieć jak shardzieli Czesi, bo te ukłony na prawo i lewo, ten strach bezustanny, by, broń Boże! Niemców nie podraźnić, ta obrzydliwa galanterya i uprzejmość polska, która jest znamienną cechą naszych stosunków z wrogim żywiołem, te illuminacye polskie i chorągwie w dzień galówek niemieckich, to chowanie impertynencyi krzyżackich i krzywd wyrządzanych do kieszeni w imię chleba, karyery — no! i wyższej racyi stanu — wszystko to jest symptomem owej kupieckiej moralności i kupieckiego patryotyzmu, rozsianych przez fałszywie pojęte i wykrzywione hasła pracy organicznej w społeczeństwie poznańskiem.

My, jak nikt inny może, czcimy ten kierunek, którego ojcem w pruskim zaborze był Karol Marcinkowski, ale wiemy również, że późniejsze pokolenia ideę odrodzenia wypaczyły, i dla tego dziś do trzeźwego odwrotu wołamy. Świt już się zaróżowił na niebie i to, co fałszywy system wychowawczy wysuszył i wyziębił w społeczeństwie, prędzej czy później życiem zakwitnąć musi. My sami może świadkami zwycięstwa nie będziemy, ale wyrośnie pod naszym wpływem nowa generacya, która nie z kramarską arytmetyką, lecz ogniem ideałów w duszy, rozpocznie walkę na wewnątrz i na zewnątrz. I wtedy ustąpi niewątpliwie ta praktyczna gra w chowanego, o której mówi początek feljetonu, — ta epidemiczna obłuda i lękliwość, która dziś paraliżuje jeszcze szybki rozwój naszego stronnictwa. A gdy wróg, wierząc w potęgę tradycyjnego teroryzmu, podniesie rękę i spyta:

Kto śmie ciszę mej zadumy
Porywami swemi kłócić?
Czyich to tam lasów szumy
Wiosnę moją chcą zasmucić?...
Kto tam nosi się z wichrami
Jak opadłe liście z drzewa,
I chmur kiry westchnieniami
Po błękitach mych przewiewa?...
Od czyjego cieniów czoła
Tęczy mojej gasną wstęgi?
Kto tam gromów moich woła
I na jasne widnokręgi
Smutków swoich rzuca mgły?

— gdy wróg tak spyta, młodzi ze strachem nie opuszczą głowy, lecz dumnie odrzekną:

*To my!*

*Sulla.*

# Wolne głosy.

## W sprawie naszego przemysłu i handlu.

**Z prowincyi.**

„Dziennik Poznański“, który w deklamacyi i systemie rozanielania oraz maskowania zdawał się kochać niepomiernie, w nr. 12 z b. r. pod tytułem „Bańki mydlane“ poraz pierwszy zdobył się na chwalebną odwagę wypowiedzenia prawdy i krytycznego zbadania naszych zdolności przemysłowo-przedsiębiorczych. „Dziennikowi“ dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze. Na wypowiedziane poglądy godzimy się zupełnie z wyjątkiem końcowego wniosku w sprawie założenia rodzaju biura informacyjno-instruktywnego.

Bardzo słusznie podnosi „Dziennik“ — że u nas kupców jest mało — są tylko kramarze. Kupców fachowo wykształconych gruntownie, z potrzebnym kapitałem, jest w całym naszym Księstwie niewielu, wszelkie gadania, że nasz handel się wzmaga, — są tylko gadaniną, niczem więcej. Jakiś urzędnik gospodarczy, exnauczyciel elementarny, wykolejony właściciel ziemski z kilkuset a nawet kilku tysiącami marek kapitału, bez rutyny i praktyki otwierający handel — nie jest kupcem — jest tylko kramarzem. Przybywa przez to firm polskich na szyldach, ale nie przybywa kupiectwa, regulującego za pomocą kapitału stosunek produkcyi do konsumpcyi, przenoszącego produkcyę z miejsc, gdzie jest jej nadmiar, do miejsc, gdzie się okaże zapotrzebowanie. Innemi słowy handlem — kramarstwem pozostanie sklepik z pewnym zapasem towarów wziętych na kredyt, upychaniem tychże nadającej się klienteli, lawirowaniem możliwie najdłuższem, a w końcu niedoborem bilansu, zarwaniem wierzycieli etc. etc. Ilościowo więc nasze kupiectwo przedstawia się względnie jako tako, jakościowo znacznie gorzej, a jeśli ilościowo porównamy nasze kupiectwo polskie z kupiectwem żydowskiem, to tworzy ono co do liczby tylko trzecią część, a może nawet czwartą kupiectwa żydowskiego; taki przynajmniej stosunek wykazał się przy kontrolowaniu listy wyborczej jednego z okręgów z okazyi wyborów do zmienionej nowym regulaminem izby handlowej.

Gorzej o wiele ma się rzecz z naszym przemysłem. Jakiem jest na prowincyi nasze rzemiosło wie każdy, kto z niem miał jakiekolwiek stosunki. Wstrzymuję się od krytyki naszego rzemiosła, — może z obawy przed posądzeniem mnie o pessymizm, — a powtóre dla tego, że nie tutaj po temu miejsce: — chodzi nam o co innego, — o wielki przemysł w prawdziwem słowa znaczeniu, i ten też „Dziennik Pozn.“ mógł tylko mieć na myśli.

O ile więc nasze kupiectwo i rzemiosło reprezentują się względnie dobrze ilościowo — o tyle nasz wielki przemysł ani ilościowo nie zajmuje nawet skromnego stanowiska — z tej prostej przyczyny, że nie mamy go wcale. Fabryki pp. Cegielskiego, Urbanowskiego i Skrzydlewskiego, młyn parowy p. Grabskiego w Inowrocławiu, kilka cegielni parowych, — oto cały nasz przemysł polski w W. Ks. poznańskim. Oprócz tedy co najwyżej 10 kominów, które kurząc się świadczą o wrącej we fabryce polskiej myśli, pracy i kapitale, reszta fabryk spoczywa w rękach niemieckich lub żydowskich. Jeśli już za wiele byłoby wymagać, aby się w Księstwie roiło od fabryk sukna, szkła, porcelany, papieru i t. d. to chyba i najłagodniejszy obserwator nie zdejmie z nas zarzutu, że p r a w i e cały przemysł cukrowniczy pozwoliliśmy sobie z rąk wydrzeć. Śmietankę z cukrowni zbiera kapitał obcy, myśmy poprzestali na skromnej roli białych murzynów, plantujących buraki.

Cóż więc tego może być przyczyną, że przemysł p o l s k i u nas prawie nie istnieje? Zadając sobie to pytanie, znajdujemy na to jedyną odpowiedź, że przyczyną tego nasz kwietyzm i nasze wygodnictwo.

Do stworzenia przemysłu potrzeba fachowej nauki i znajomości, pracy pilnej i kapitału znacznego. Ostatni, o ile jest jeszcze w polskim ręku, ulokował się w listach zastawnych — bądź to dla tego, że nie widzi lokacyi pewnej w przedsiębiorstwach przemysłowych własnych, bądź też, a może głównie dla tego, że wygodnem jest bez żadnego ryzyka obcinać kupony. Kwietyzm nasz jest przyczyną, że na nowe tory niechętnie wchodzimy; obmyśleć coś nowego, zamiar konsekwentnie przeprowadzić, — to u nas rzadko się zdarza. Z dawnych utartych formułek wyzwolić nam się trudno, — cóż dopiero zdecydować się na to, aby się wyuczyć piwowarstwa, sukiennictwa, papiernictwa itd. itd., a przecież piwa, sukna i papieru konsumuje się z każdym rokiem coraz więcej, i bylebyśmy tylko nauczyli się i rozpoznali, czego potrzeba do wyrobienia hektolitra smacznego piwa, za pomocą jakich najnowszych maszyn, z jakim bruttokosztem wyrabia się metr kwadratowy sukna lub ryza papieru, aby ze zyskiem zbyt znaleźć można, — to reszta znajdzie się sama przez się, znajdzie się i kapitał z początku mały, później większy, znajdzie się i miejsce gdzieś nad koleją, znajdzie się i robotnik, który w braku korzystniejszego zatrudnienia wynosi się do Saksonii.

Innemi słowy potrzeba nam ludzi z odpowiedniemi fachowemi wiadomościami, praktyką i rutyną, — i tak jak niegdyś Marcinkowski przez pomoc naukową wytworzył

w Księstwie naszem zastęp inteligencyi, — tak dzisiaj to samo Towarzystwo Pomocy Naukowej — osiągnąwszy cel swój w jednym kierunku, — zdaniem naszem zabrać się powinno energicznie i szczerze do wytworzenia sił fachowo-przemysłowych w drugim kierunku. Impuls do szukania karyer uczonych danym został naszemu społeczeństwu wystarczająco przez niewygasłej pamięci Marcinkowskiego, — kto chce się rzucić na karyerę intelektualną — niechaj to czyni teraz z własnych funduszów. Towarzystwo zaś Pomocy Naukowej niechaj fundusze swoje obróci na wykształcenie fachowców. Szkół fachowych w każdym poszczególnym zawodzie ma pod dostatkiem Saksonia, Bawarya i Westfalia, potrzeba tylko funduszów i zachęty. Towarzystwo Pomocy Naukowej posiada pierwsze, niechaj nie szczędzi w tym kierunku i drugiej — i tak jak przez szereg lat 30 wytworzyło i dało Księstwu intelligencyę, tak niechaj dzisiaj wytworzy siły fachowe.

Tymczasem praca nasza i beletrystyka niech wpaja w społeczeństwo potrzebę takiej fachowej pracy.

Zdolności nam nie braknie — tych mamy więcej moze od Niemców, — lecz braknie nam dobrych chęci, wytrwałości, konsekwencyi i zapobiegliwości. A nie wytworzymy w nas tych przymiotów, jeśli ciągle w uszy nam kłaść będą, że jesteśmy narodem wybranym. W czasach dzisiejszych cuda się nie dzieją, a jeśli byt nasz chcemy zachować, to trzeba nam zakasać rękawy i w pocie czoła pracować, — trzeba nam na punkcie dodatnich przymiotów stać wyżej od tych, którzy by nas zmiażdżyć pragnęli. Nauczmy się lepiej i intenzywniej pracować od naszych przeciwników, znajmy fach nasz lepiej od nich, pracujmy pilniej od nich, wydawajmy mniej, oszczędzajmy więcej, — a nic nam nie zrobi kolonizacya, ani H. T. K. Jeszcze nam nie zabroniono pracować i myśleć, — więc z tego korzystajmy.

Nie pochodzi ztąd, abyśmy już w opatrzność żadnych nie pokładali nadziei, — owszem mamy to przekonanie, że skoro suma nieprawości dojdzie do kresu, „wtedy Pan wstaje sam, — aby sądzić w sprawie swojej“ Zanim to jednakże nastąpi — poprawa do nas należy i jeśli się nie zdobędziemy na siłę odporną przez pracę, zwłaszcza fachową, — to fala germanizmu zalać nas musi, zanim słońce zejdzie.

Pierwsze tedy objawy zdrowego krytycyzmu w „Dz. Pozn.“ chętnie witamy, — i o ile godzimy się na cały wzmiankowany artykuł, to przecież nie widzimy dotąd żadnej potrzeby zakładania biura informacyjnego dla naszego przemysłu. Biuro takie miałoby racyę bytu, gdyby gromady ludzi fachowo i dobrze wykształconych chodziły po Poznaniu i wołały: „Wskażcie nam co i gdzie rozpocząć mamy, — gdyż posiadamy wszystko, co do tego potrzeba“. Tak jednakże dotąd nie jest, fachowców nie mamy prawie wcale, — więc biuro takie niepotrzebne. Starajmy się siły fachowe wytworzyć i konieczność takich sił wykazać, a reszta potem znajdzie się sama przez się.

*R. H.*

## KRONIKA LITERACKA

* **Profesor Masaryk o „Przeglądzie Poznańskim.“** W nr. 3-im świetnie redagowanego tygodnika pragskiego „C z a s“ takie wypowiada opinie o naszem piśmie wódz realistów czeskich, profesor uniwersytetu, Masaryk: „P r z e g l ą d P o z n a ń s k i jest pismem za mało u nas znanem: poświęcamy mu dzisiaj wzmiankę. Zycie publiczne Polaków w Niemczech było do niedawna wyłącznie politycznem i narodowem. Narodowość polska w stosunkach względnie korzystnych wzmocniła się i zabezpieczyła. Krzywdy dzieją się Polakom w Niemczech bezustannie, głównie w szkólnictwie, atoli już nie tak krzyczące jak dawniej (?). Obok tego starają się Polacy w Prusiech korzystać z wolności prasowej (która w Rosyi jest skneblowaną), i z praw o związkach i towarzystwach. Ale podobnie jak u nas, tak i tam stare prądy i stronnictwa, którym bez wątpienia należy przyznać pewne zasługi w prowadzeniu walk narodowościowych, ugrzęzły w poglądach przestarzałych, nie postępowały z czasem, z nowemi prądami kulturnemi i socyalnemi. Pracy w tem zrozumieniu podjęli się młodzi, których dewizą jest M ł o d a P o l s k a, odpowiadająca nowożytnym prądom naszym, a reprezentowana w piśmiennictwie peryodycznem tygodnikiem „P r z e g l ą d P o z n a ń s k i“. Redaktorem tego pisma jest dr. Wład. Rabski, autor dramatów „Asceta“ i „Zwyciężony“, (tłomaczony na język czeski), którego feljetony i krytyki w piśmie zasługują na szczególne odznaczenie.

P r z e g l ą d P o z n a ń s k i odznacza się pod względem politycznym ostrą krytyką stosunków polskich w Niemczech i Austryi (głównie krakowski publicysta pan K. Bartoszewicz zwalcza bezwzględnie Koło Polskie i rządzące warstwy w Galicyi) jako też poważnemi artykułami o zasadniczych problematach polityki, kwestyach socyalnych i literackich.

Zasługuje na uwagę naszą to mianowicie, że P r z e g l ą d pilnie śledzi ruch czeski. Pięknemi artykułami o Szląsku austryackim propaguje myśl czesko-polskiej ugody; niedawno w artykule o moskalofilizmie wśród Czechów objaśnił czytelników, jak objaw ten tłomaczyć należy. Również publikował piękny referat dra. Makowieckiego o „C z e s k i e j k w e s t y i“ i „N a s z e j K r y z i e“. Obecnie umieszcza szereg artykułów także pióra dra. Makowieckiego o czeskiej literaturze, o których przy sposobności szerzej pomówimy. Dotychczas artykuły te zawierały ocenę dzieł Czecha, Vrchlickiego, Machara, a z czeskich dekadentów B zeziny, Mrszticów i Szlejhara. „P r z e g l ą d P o z n a ń s k i“ — tak kończy prof. Masaryk — z a i s t e z a s l u h u j e u n a s n a w i e t s z i (wiekszą) p o z o r n o s t (uwagę) n e ž d o s u d (dotąd).

# Kronika powszechna.

**Wiadomości społeczne i polityczne.** Wniosek hr. Kanitza odrzucił parlament niemiecki 219 głosami przeciw 97. — „Vorwärts“ socyalistyczny zaniepokoił znowu sfery rządowe, ogłosiwszy rychlej, niż organ państwowy, manifest cesarski, ułaskawiajacy z okazyi uroczystości jubileuszowych rozmaitych przestepców. Domyślają się, że jakaś wysoka figura zdradziła tajemnice. Śledztwo jest w biegu, lecz prawdopodobnie tak teraz, jak dawniej, pozostanie bezskutecznem. — Sobranje bułgarskie obradować będzie w najbliższym czasie nad zamordowaniem Stambułowa. — Minister rolnictwa Hammerstein wygłosił w parlamencie niezwykle ostra krytykę stronnictwa konserwatywnego. Mowa ta wywołała powszechną sensacye. — Znany antysemicki poseł Ahlwardt zamierza podobno objąć redakcyę jednego z dzienników amerykańskich i skwitować z karyery parlamentarnej w Niemczech. — W ciagu ćwierćwiekowego istnienia cesarstwa niemieckiego armia i marynarka pochłonęła olbrzymią sumę 13 miljardów marek. — Kampania oszczercza przeciw prezydentowi republiki francuzkiej, Feliksowi Faure, trwa w dalszym ciągu. Mimo bezpodstawności zarzutów zmniejsza się popularność prezydenta.

* * *

**Teatr i muzyka.** Molierowski „Don Juan“ odegrany w czwartek na benefis p. K n a p c z y ń s k i e g o, znęcił do teatru bardzo liczną publiczność. Sztukę przyjmowano oziębłe. Beneficyantowi wręczono dwa wieńce. — We Lwowie wystawiono Sudermanowskie „Szczęście w zakątku“. O premierze tej krytyka wyraża się tylko z umiarkowanem uznaniem. — Gerhardt Hauptmann otrzymał za dramat „Hanusia“ wiedeński „Grillparzerpreis.“ — Wielkopolanka p. M a r y a P ę t k o w s k a koncertowała w Krakowie pod nazwiskiem Ostoi i śpiewem swoim podbiła publiczność i krytykę. „Głos Narodu“ taki sąd wydaje o występie młodej Wielkopolanki:

„W części wokalnej przedstawiła się naszej publiczności młoda śpiewaczka, ujmującej powierzchowności ze szkoły Lucci, p. Marya Ostoja. P. Ostoja śpiewała utwory Mozarta, Griega, Moszkowskiego i inne, z powodzeniem wzrastającem za każdym numerem programu. Jej w całym słowa znaczeniu piękny i szczególniej w górze rosnacy głos sopranowy, jej umiejętność w obchodzeniu się z organem, wskazująca na sumienne studya, wreszcie wdzięk, jaki nadaje wykonywanym utworom, wszystko to składa się na ogół zalet, dzięki którym p. Ostoja zdobyła sobie poklask goracy i szczerze zasłużony.“

— Olbrzymi teatr pod nazwą „Olympia“ stanie w r. b. w Berlinie; na scenie będzie mogło równocześnie występować 1000 osób, kanał 12 metrów szeroki oddzielać będzie scenę od publiczności i służyć do wielkich scen wodnych baletowych. — Sardou wykończył nowy dramat „Czarownica“, w którym rola główna przeznaczona Sarze Bernhardt. — Dyrekcya teatru łodźkiego podaje do wiadomości, że posiada 6000 rs. na budowę teatru letniego na placu, gdzie stał teatr Eden.

## BŁĘDY JĘZYKOWE.

1. Nie mówmy *jak*, zamiast *niż*, gdy wyrażamy *różnicę*. a nie *jednostajność*. Więc nie mówmy: „Dzień dłuższy *jak* wszystkie inne“. „Dom ten stoi bliżej *jak* tamte“ itp., ale: „Dzień dłuższy *niż* wszystkie inne“. „Dom ten stoi bliżej *niż* wszystkie inne“, albo: „dłuższy od innych“, bliżej od innych“ Coś może być „równie długiem *jak*,“ albo „równie blizkiem *jak*“. lecz nigdy „bliższem *jak*“, albo dłuższem *jak*“.

2. Przed *który* w zdaniach wtrąconych umieszczać należy tylko części mowy nieodmienne; dobrze więc jest: „człowiek, *przeciw* któremu...“, ale źle: „człowiek, syn którego...“; powinno być: „człowiek, którego syn...“

3. Nie mówmy i nie piszmy *jak długo.. tak długo*, zamiast *dopóki, póki.. dopóty, póty*. Tamto jest niemczyzną: *so lange*.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Vera.** Prosimy o cierpliwość. Podobne żądania napływają do redakcyi codziennie w znacznej ilości. Odpowiadamy kolejno w miarę jak czas nam pozwala przeglądać nadesłane rękopisy.

— **F.** Polskich powieści pani Poradowskiej nie znamy; zdaje nam się, że Szanowny Pan mylne w tym względzie posiada informacye.

— **Władysław K.** I my otrzymaliśmy broszurę Przybyszewskiego „P r o d o m o m e a,“ ale opinję o niej wydamy dopiero wtedy, skoro nas dojdzie zapowiedziany tam romans psychologiczny p. t. „D e p r o f u n d i s“.

## OD ADMINISTRACYI.

Prosimy Czytelników nie zbierających kompleta o łaskawe przesłanie nam numerów:

**17-go z roku 1894-go,**
**34-go i 44-go z roku 1895-go.**

za każdy egzemplarz zapłacimy 50 fen.

## SPROSTOWANIE.

Do artykułu Z. Oleskiego „Najnowsza powieść Jeske-Choińskiego“, umieszczonego w nr. 3 „Przeglądu“, zakradło sie kilka omyłek drukarskich. Na str. 29, łam II, wiersz 53 z dołu i str. 30, łam I, wiersz 22 z góry należy czytać nie „krzesło konsulskie“ lecz „kurulskie“; na str. 30, łam I, wiersz 6 z dołu „wyrok śmierci miał wydać na... narzeczoną przyjaciela P u b l i u s z“. na str. 31, łam II, wiersz 11 z dołu nie „za żywy“, lecz „f a ł s z y w y koloryt“. na str. 32, łam I, wiersz 9 z dołu nie „Rzym bez czarów“ lecz „Rzym c e z a r ó w“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.